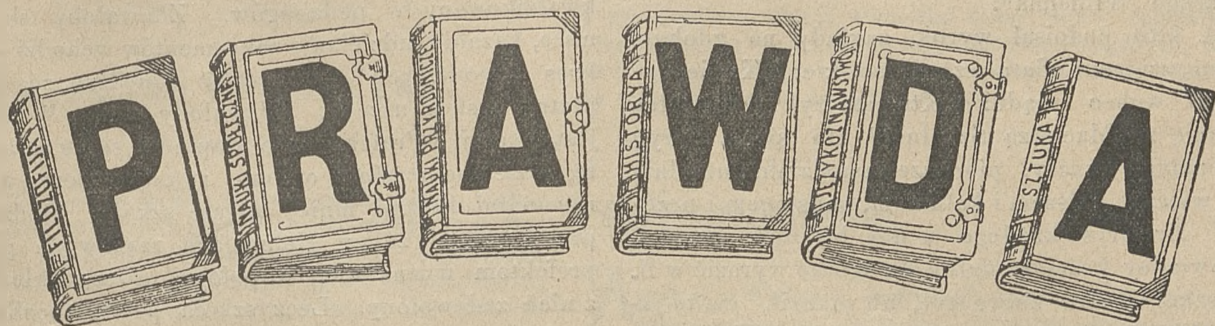
Nr 4 (1567). Warszawa, 28 stycznia 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kropidło i Sakiewka.

Kościół katolicki stał się w oczach naszych typowym okazem tego, czym bywa wielka potęga dziejowa — w rozkładzie.

Gmach, który przez tysiąc lat rósł, a przez drugi tysiąc kamieniał, dzisiaj, padając, wali się ze straszliwym łoskotem. W Polsce, gdzie kościół nie wyrósł wprawdzie wyżej, niż w innych krajach, ale najmocniej zato skamieniał, katastrofa upadku przybiera rozmiary żywiołowe.

Kler oślepiony niebezpieczeństwem, rozżarty walką, miota się w popłochu, klnie, tarza się w rozpuście, wyzywa do walki całą cywilizację, wyszydza moralność, gromi wiedzę teatr i sztukę, szarga świętości narodowe, okrada własne bóstwa, odsłania najdziksze, najpotworniejsze, jaskinie swej duszy w zbrodniach, wobec których sumienie kata musiałoby się wzdrygnąć.

Kler szaleje i — nie liczy dni, które mu zostają. Jak ongi konające pogaństwo, kler nasz dzisiejszy pragnie żyć i używać, nie pytając o jutro. Już przestał wierzyć we własne swe posłannictwo. Już nie ufa własnej swej tradycji. Długi łańcuch wieków wlecze się za nim, jak martwy ciężar, pęta jego kroki, tamuje wszelki ruch: co było niegdyś jego mocą staje się dzisiaj przekleństwem. Żelazna organizacja, która niegdyś dała kościołowi władzę, dziś na nim mści się złowrogo, wytrawiając zeń wszelkie zadatki rozwoju. Ślepa, bezwzględna karność, stuleciami szczepiona, zabiła w podwładnych poczucie odpowiedzialności za siebie, a w zwierzchnikach rozpętała pychę półbogów. Hierarchja stopni i godności duchownych, będąca niegdyś drabiną idealną, po której majestat łaskawie zstępował wdół, w pośród najniższych, a zasługa z pokorą wstępowała ku górze między najwyższych, stała się dzisiaj polem gonitwy, gdzie przekupstwo ściga się z szantażem, a cynizm idzie o lepsze z obłudą.

W olbrzymim, wyjałowionym organizmie kościoła każda choroba rozprzestrzenia tię błyskawicznie, każda natomiast próba odrodzeniowa zostaje niezwłocznie umiejscowiona, oszańcowana i w zarodzie zduszona. Kościół katolicki kształtował się, mężniał i pogłębiał po przez herezje, które częściowo lub w zupełności wchłaniał w siebie i przetrawiał. Tak szedł aż do XVI wieku, w którym wybuchła Reformacja. Luteranizm był pierwszą herezją nad którą Rzym zapanować nie zdołał, która go rozsadziła. Odtąd zdroje twórczego ducha religji wyschły w katolicyzmie, przeciekłszy skroś szczeliny jego pękniętej opoki. Kler, który jeszcze w XIV w. przodował kulturze Zachodu, już XVI w. pozwolił się jej wyminąć, a w XVII zaczyna nawet awangardy jej powoli tracić z oczu. Im szybszym krokiem posuwał się naprzód pochód ludzkości, tym bardziej w tyle pozostawał kościół, zdezorjentowany, wytrącony z tętna dziejów, odsunięty od obowiązków. Straciwszy pod stopami grunt zadań dziejowych uważany przez ogół za pasożyta i sam stopniowo do tej roli nawykając, kler stoczyć się musiał do poziomu najgrubszego materjalizmu, rozkosznictwa i nieprawienia.

Napróżno władza duchowną ponawia instrukcje, potęguje obostrzenia ascezy i wymagania kultu. Duchowieństwo z kuglarską dokładnością wykonywa przepisane po łacinie recepty, ale ducha w działalność swoją tchnąć nie potrafi, bo go niema w sobie.

Zresztą rozejrzyjmy się po kraju: kto sprawuje u nas władzę zwierzchnią w kościele? Dostojni de-

nuncjanci, osiwiali w boju z oświatą, ciskacze gromów na święte dla narodu trumny, nadworni i zabiegliwi służalcy, krzątający się koło „przyzwoitego opatrzenia szkatuły monarszej, miłościwie na zamku poznańskim rządzącego Wilhelma".

A któż podpisał wyrok zagłady na zdobyte ciężkim trudem i ofiarą szkoły polskie? Kto je dyfamował wobec rządu? Kto stoczył tryumfalną kampanję z „Macierzą Szkolną?" kto siecią intryg podziemnych osaczył pierwsze samodzielne uczelnie ludu, walcząc fałszem i kalumnią, podstępem i przemocą? Życiorys każdego u nas biskupa, prałata, możnowładcy kościoła dałby się krótko wyrazić w liczbie szkół, które zniweczył, lub zakaził. Są to jakoby dziwne potwory z „Czarnych Masek" Andrejewa, żarłocznie chłonące światło dokoła siebie, a nigdy nienasycone. Stolice pasterzy i arcypasterzy naszych kładą się po kraju długimi kolumnami więziennego mroku no śpiące głowy chłopskie.

Pod takim rządem i kierunkiem kler parafjalny musiał zrzec się wszelkich uroszczeń do istotnej powagi moralnej w społeczeństwie. Dla zapełnienia pustki życiowej począł gonić za groszem i za uciechą. Odmętem orgji usiłuje on przesłonić otwierającą się przepaść u swych stóp. Bez rodziny, bez obowiązku pracy wytwórczej, rozmiłowany w sobie i we własnym lenistwie ksiądz stał się doskonałym typem egoisty.

Rozwojem umysłowym i wykształceniem ksiądz odpowiada pospolicie pisarzom gminnym, co najwyżej niższym kancelistom z powiatu. Szczypta wiedzy czteroklasowej, z gimnazjum wyniesiona, w głowie kleryka zazwyczaj ginie bez śladu pod piaskiem rutyny dogmatycznej.

Od wielu lat duchowieństwo nasze rekrutuje się wyłącznie z doboru miernot umysłowych, dla których klasa piąta bywa zbyt wysokim progiem. Historja nie zapisała też wypadku, aby kogokolwiek z seminarjum duchownego usunięto dla braku zdolności. Minimum inteligencji nie jest wyszczególnione. Owszem, im młodzieniec bardziej tępy, tym większym cieszy się zaufaniem u przewodników: „Tym lepiej — powiadają — będzie z niego twardy ksiądz, gdy dojrzeje".

I taki to żywioł, mocą nałogu historycznego, stawia się u nas na świeczniku społecznym; takiej gangrenie, w kastę zorganizowanej, przypisuje się doniosłość wychowawczą; barbarzyństwu takich dłoni powierza się plastyczne, wrażliwe dusze młodzieży!

Zwłaszcza ta ostatnia rola, rola pedagogiczna kleru, szerzy niebywałe spustoszenie moralne i rozumowe w społeczeństwie. Trudno wyobrazić sobie większą, bardziej krzyczącą niewspółmierność między godnością funkcji a wartością żywiołu, który ją pełni. Duchowieństwo w rzeczywistości nie dba ani o przyszłość narodu, ani o zdrowie młodzieży; wyosobnione w kastę zamkniętą w sobie, nie ma ono interesów innych poza interesami własnych rozkoszy i zadowoleń; nie wiele również leży mu na sercu dobro powszechne i trwałe kościoła; nie waha się ono poświęcić spraw kościoła dla kaprysów osobistych, ilekroć zachodzi między nimi starcie. Pracę w szkołach kler uważa jedynie jako zyskowny dla siebie proceder. To też wybiera wyłącznie szkoły zamożne, żądając, mimo nizki swój cenzus umysłowy, wynagrodzenia za swe gawędy jak za rzeczywistą płodną pracę wykwalifikowanych pedagogów. Zdawałoby się, że msze, kazania, udzielanie sakramentów wchodzi w zakres zawodowych obowiązków księdza, za które płatny jest z urzędu. Zdawałoby się... W istocie jest inaczej. Prefekt każe dopłacać sobie za usługi te, udzielane uczniom, osobno, rujnując nieraz wygórowanymi djetami mniej bogate szkoły. Godzi się przypomnieć, że w gimnazjach rządowych pensje prefektom wyznaczano o połowę niższe; kler był z nich zadowolony. Lecz szkoła polska, pozbawiona autorytetu państwowego, zdana sama sobie, nie posiada dość siły obronnej, aby odeprzeć i pomiarkować zachłanność księdza. Musi tedy znosić jego pasorzytniczy wyzysk.

Zwykła pensja nauczycielska obliczona jest na koszta utrzymania się wraz z rodziną; ksiądz pobiera ją w całości, choć rodziny nie posiada i ponad to ciągnie zyski należne z właściwej parafji.

Rujnując szkołę ekonomicznie, kler nadomiar wprowadza do niej pierwiastek rozkładowy przez stosowanie policyjnych środków kurateli nad sumieniem młodzieży, uprawianie z ramienia biskupiego szpiegostwa w dziedzinie ortodoksji kościelnej tudzież jątrzenie młodzieży przeciw niemiłym sobie osobom, nie cofając się nawet przed podburzaniem dzieci przeciw rodzicom.

Szkoły, które nie korzą się bezwzględnie przed sutanną prefekta, są zwalczane przez zgodny, cichy i harmonijny bojkot całego kleru, pod opatrznościową egidą konsystorza. Spekulując na przepisach ministerjalnych, które udział prefekta w szkole uważają za conditio sine qua non, księża za podszeptem biskupa uchylają się od zajęcia stanowiska w takiej uczelni, by zarząd jej postawić w kłopocie. Szkoła M. Kreczmara (popierana przez T. K. P.) w Warszawie od dłuższego czasu stała się przedmiotem takiego właśnie cichego bojkotu, zmierzającego ku temu, aby w milczeniu, bez hałasu, bez widomego zamachu „łeb urwać hydrze". [1])

Jakże głęboko gdzieś i niepostrzeżenie utonęło w zgiełku handlarskim dzisiejszego kleru dziewięcioro cichych, kojących dusze błogosławieństw Jezusa, wygłoszonych na Górze. Jak krople rosy miodnej rozpłynęły się one w piołunowych potokach goryczy, nienawiści i przekleństw, którymi zieją usta duchowieństwa przeciwko wszystkiemu, co nie służy ich kaście.

Tysiące ochron, tysiące szkół elementarnych po wsiach i miasteczkach woła o ziarno oświaty; miljony ludu wyciągają ręce po elementarze i abecadło. W Warszawie na Powiślu, śród ubogiej dziatwy robotniczej szeregi uczelni domagają się prefektów, tam jednak księża nie pójdą ze swoim żarem nauczania, ze swą pochodnią apostolstwa, bo tam... nie płacą, albo płacą bardzo niewiele, a przyjemności i rozrywki kawalerskie bywają niezmiernie kosztowne. Ksiądz od-

---

[1]) Patrz „Z prasy".

czuwa obowiązki i powinności swoje tylko po przez sakiewkę; ona mu zastępuje serce ludzkie i sumienie społeczne. Sakiewka i kropidło — oto dwa symbole uosabiające działalność współczesnego kleru!

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

D. 12 stycznia sprawa wizyty poczdamskiej, rozkołysawszy cały ocean domysłów i plotek, weszła na porządek dzienny francuskiej Izby deputowanych. Deklaracja, jaką przy tej okazji złożył minister spraw zagranicznych, nie była dla nikogo niespodzianką, bowiem pojednawcza jej treść na kilka dni przedtym dostała się na łamy pism półurzędowych.

„Sojusz francusko-rosyjski — oświadczył p. Pichon — nigdy nie był tak żywotny i trwały, jak obecnie. *Rien n'est changé!*". Komentując w dalszym ciągn mowę kanclerza Niemiec i artykuł *Nowego Wremieni*, minister położył nacisk na zupełną, jego zdaniem, analogję ugody Poczdamskiej w sprawach perskich z niedawnym porozumieniem francusko-niemieckim w sprawie Marokka. Rzecznicy pokoju powszechnego powinni się cieszyć, że oto usunięto z widowni jeden jeszcze szkopuł niebezpieczny w postaci zatargu między Niemcami a Rosją..

Przekonywał tedy p. Pichon, z wielkim nakładem taktu i finezji, że wszystko dobrze się składa, a ponieważ Izba szczerze pragnęła być przekonaną, przeto podziękowała mu salwą oklasków.

Mimo całego swego optymizmu, musiał jednak dojrzeć i sygnalizować nową chmurę na horyzoncie, mianowicie od strony Holandji, gdzie nie bez wpływu Niemiec zajęto się projektem olbrzymich fortyfikacji nabrzeżnych na miejscu dawnej twierdzy Flesyngi. Zamierzone warownie są jakby lewym skrajnym skrzydłem niemieckiego frontu strategicznego, którego skrzydło prawe opiera się o Helgoland i Borkum. W ten sposób byłyby Niemcy zabezpieczone od wszelkich niespodzianek ze strony marynarki angielskiej na terenie przypuszczalnej wojny, same zaś pozyskałyby mocny punkt obserwacyjny na linji kontaktu sił lądowych francuskich i angielskich.

Byłoby to bardzo ważne posunięcie na szachownicy strategicznej, gdzie dotąd za najważniejszą uważano granicę alzacką na linji Strasburg — Metz, obecnie zaś, z chwilą przeniesienia całej wagi konfliktu na północ, ku brzegom angielskim, spokojna, kwitnąca Holandja i neutralna Belgja znalazły się mimo woli w samym centrum działań strategicznych.

Z punktu widzenia prawa międzynarodowego, fortyfikacje Flesyngi, panując nad wybrzeżem belgijskim, byłyby pogwałceniem traktatu z r. 1839-go, który zastrzega zupełną neutralność Belgji. Zauważyć się godzi, że Anglja stała zawsze na straży niepodległości Belgji i Holandji, umyślnie pragnąc mieć na *vis à vis* siebie, w Europie, dwa słabe i neutralne państewka zamiast silnego mocarstwa w rodzaju Niemiec.

To też opinja angielska zdradza wielkie rozdrażnienie domagając się od rządu stanowczych przeciwdziałań planom niemieckiego sztabu generalnego, który tak niezmordowaną i bezwzględną rozwija czynność, że niewątpliwie każdy dzień zwłoki zmienia stosunek sił na niekorzyść Anglji. Ze swej strony rząd francuski, w porozumieniu z Anglją, wystosował odpowiednie noty do mocarstw, gwarantujących neutralność Belgji aktem z roku 1839-go.

Sprawa Flesyngi jest w tej chwili tematem poważnych roztrząsań; niebrak pesymistów, którzy w tym nowym zatargu wyczuwają możliwy *casus belli*. Bądź co bądź mamy tu do czynienia z jednym z tych faktów, coraz częściej powtarzających się ostatnimi czasy, które padają, jak iskra, na beczkę pełną prochu.

Odgłosy zaburzeń portugalskich, rozmyślnie potęgowane przez koła klerykalne całego świata, rychło przycichły. Mimo usiłowań wielu gorliwców i nietajonej zachęty ze strony reakcji, zatarg republiki ze skrajną lewicą został zlokalizowany w kilku strejkach dzięki energji t. zw. *węglarzy* którzy stanowią duszę nowej republiki, oraz postawie mas ludowych, instyktem czujących, że zwolennicy dawnego ustroju nieobojętnym patrzą okiem na waśń w rodzinie demokratycznej.

Niezrozumienie.

Artykuł „Walka z drożyzną", umieszczony w zeszłym numerze *Prawdy*, wywołał szereg uwag, które wymagają sprostowania. Oponent mój z *Nowej Gazety* twierdzi, iż przekonania jego nie dadzą się ująć w żaden „szablon". Twierdzenie to jest całkiem błędne. Trudno jest dzisiaj gdziekolwiek, a tym bardziej w Warszawie, wynaleźć jakąś zupełnie nową doktrynę ekonomiczną, któraby nie przypominała żadnego ze znanych kierunków myśli europejskiej. Można osobiście ulec takiemu złudzeniu, lecz to nie powód, aby mu ulegali ci, którzy zapoznali się dokładniej z odnośną skalą porównawczą. Zarzut, że „dwa lata temu" byłem ortodoksyjnym solidarystą jest całkiem słuszny: stosuje się on nawet i do chwili obecnej. Teorja, że — bez względu na to, jakimi drogami pójdzie rozwój ekonomiczny — społeczeństwo jest obowiązane w imię własnego interesu zagwarantować każdej jednostce minimum bytu i wiedzy, gdyż bez tego minimum owa jednostka staje się ogólnym niebezpieczeństwem, ciężarem lub w najlepszym razie stratą, — teorja ta jest dotąd moją teorją, i—oczywiście—zupełnie nie przeszkadza mi wskazywać i badać dalszych dróg rozwojowych. Powoływanie się na ekonomistów konserwatywnych (Ruhland) i na słuszność zasadniczą w obronie tezy uspołecznienia ziemi jest bez wartości, wobec procesu rozdrabniania się własności ziemskiej, który to proces odbywa się równie dobrze w Niemczech, jak i wszędzie.

Czyż możnaby odmówić „słuszności" komuś, ktoby proponował oświetlanie ulic w nocy światłem słonecznym? Nie. Myśl jest słuszna, tylko chodzi o taką drobnostkę, jak wykonanie. „Klęskę nędzy mogą opanować tylko zasadnicze reformy socjalne" — dowodzi mój oponent. Doskonale: wiemy to wszyscy i dlatego tak niewiele wiemy. „Zasadnicze reformy socjalne" — to jest frazes bez treści: idzie o to, na czym te reformy mają polegać? Kiedy, w jakim porządku i jak mają być urzeczywistniane? Bez odpowiedzi na te skromne uzupełniające pytania, możemy sobie zupełnie swobodnie i zupełnie bezpłodnie bujać po oceanach pustej abstrakcji, z pewną przyjemnością dla siebie, lecz bez żadnej korzyści dla nikogo. Mój oponent dowodzi dalej, że ja zalecam „kooperację", jako panaceum na wszystkie dolegliwości ekonomiczne, nie zwróciwszy uwagi na to, że na jedną tylko dolegliwość drożyzny wskazałem aż *pięć* środków zaradczych, z których istotnie w naszych warunkach kooperatywa spożywcza może znaleźć najszersze zastosowanie. „Kooperatywa daje tylko te korzyści, które wynikają z pominięcia drogiego pośrednictwa, pisze mój oponent, lecz gdy drożyzna płynie ze wzrostu renty gruntowej, ruch kooperacyjny nic tu polepszyć nie może". Przedewszystkiem, gdyby kooperatywa dawała nawet tylko te korzyści, które płyną z usunięcia pośrednictwa, to i tak dawałaby spożywcom koło 20 proc. rocznego rabatu od cen handlowych. Godzi się to zaznaczyć. Następnie kooperatywy spożywcze, sfederowane w związek i posiadające hurtownię, mogą mieć (i istotnie mają w Anglji i Szkocji) swoje własne majątki ziemskie, i wówczas cena, jaka panuje na pro-

dukty rolne na rynku kapitalistycznym, ich nic a nic nie obchodzi. Jeżeli nawet sprzedają sobie owe produkty po tej cenie, to tylko po to, aby w końcu roku dać właścicielom—spożywcom wyższy dochód z majątku ziemskiego, czyli zwrócić to, co nadpłacili, ponad koszta administracji i rozszerzania przedsiębiorstwa. Wreszcie teorja podnoszenia się ceny produktów rolnych w miarę podnoszenia ceny ziemi także wcale nie jest dowiedziona, gdyż jednocześnie z tym idzie rozwój techniki rolnej, oraz wydajności. Dawniej zboże dawało 8 do 10-ciu ziarn, dziś daje 12 do 18-tu, wskutek rozmaitych udoskonaleń techniczno-chemicznych. Zboże lancowane daje przeszło sto ziarn. Aby dać dokładną odpowiedź na to pytanie, należałoby zbadać, co wzrasta szybciej: ceny ziemi czy wydajność gleby? I wtedy jeszcze z horoskopami na przyszłość należałoby być bardzo ostrożnym, bo któż wie, wielu jeszcze narodzi się Liebigów, a choćby tylko Wojciechów Wyganowskich? Wzrost wydajności ziemi, przy nieznacznym stosunkowo wzroście kosztu jej uprawy, lecz przy większej umiejętności uprawy, — paraliżuje działanie wzrostu cen ziemi i dlatego drożyzna produktów rolnych nie wynika bezpośrednio i oczywiście z drożyzny ziemi.

Lecz — dość tych uwag. Idzie mi o rzecz ważniejszą. Wszystkie kulturalne narody europejskie mają stowarzyszenia „reformy społecznej", które trudnią się badaniem wszelkich udoskonaleń społecznych, jak również są kuźnią nowych *doświadczeń* społecznych. U nas nic podobnego niema, a istniejące zespoły naszych ekonomistów i społeczników zupełnie nie nadają się do tej roli. Towarzystwo reformy społecznej, towarzystwo polityki społecznej, towarzystwo ochrony prawnej pracowników, instytut doświadczeń społecznych—oto nazwy tego rodzaju zrzeszeń w różnych krajach. Mniejsza o nazwę, lecz rzecz sama czy nie dałaby się przeszczepić na nasz grunt?

J. K.

Listy z Galicji.

III.

Po przesileniu ministerjalnym. Nowy prezes Koła Polskiego. Położenie stronnictw politycznych.

Nikt nie wróży długiego życia nowemu ministerjum barona Bienertha. P. Głąbiński jako minister kolei trudne mieć będzie zadanie. Państwowe koleje austrjackie są od dawna źle administrowane i dlaczego tak jest, trudno dziś powiedzieć. Historja tej administracji nie jest dobrze znana. Nie ulega jednak wątpliwości, że państwowe koleje żelazne mogą być dobrze administrowane i przynosić znacznę dochody, dowodem czego są koleje pruskie i szwajcarskie.

Narodowi demokraci są uszczęśliwieni, że Głąbiński został ministrem. Dlatego też wymagania ich w sprawie kanałowej zmniejszają się coraz bardziej. Niedawno *Słowo Polskie* napadło na *Nową Reformę* i demokratów bezprzymiotnikowych za to, że obstają przy przeprowadzeniu wszystkich kanałów objętych ustawą 1901 r. a nie zadawalają się perspektywą uzyskania tylko kanału Wisła — Dniestr.

Niezawodnie kanał ten jest dla Galicji najważniejszy, z tego jednak nie wynika, aby z góry zrezygnować i z innych, tymbardziej, że Wiedeńczycy zainteresowani są w przeprowadzeniu kanału Dunaj — Wisła. Publicyści narodowo-demokratyczni, cofając się w sprawie kanałowej, idą tak daleko, że zaczynają dowodzić, że kanał Dunaj — Wisła będzie dla kraju niekorzystny, gdyż spowoduje wywóz z Galicji drzewa i żelaza, a przewóz różnej tandety wiedeńskiej. Te „oryginalne" poglądy ekonomiczne naszych nacjonalistów ujawniły się dopiero teraz, po wejściu Głąbińskiego do ministerjum.

Daszyński w znakomitej mowie w parlamencie przypomniał Kołu polskiemu, że już w 1905, a potem w 1908 żądał aby przyśpieszono budowę kanałów, lecz reprezentacja polska wezwania tego nie usłuchała.

Sukces demokracji narodowej, a raczej Głąbińskiego może się stać początkiem upadku jej wpływów. Istotnie, jak słusznie zauważył *Przegląd Polski* siłą demokracji narodowej było: 1) udział w niej licznej masy urzędników, 2) *Słowo Polskie*, 3) posiadanie prezesa Koła Polskiego. Obecnie prezesem Koła nie jest już narodowy demokrata i nieprędko nim zostanie. Głąbiński został wprawdzie ministrem, ale prawdopodobnie nie na długo. O tem zaś, aby stał się w krótce ponownie prezesem Koła mowy być nie może, gdyż jest bardzo wątpliwym, czy, zaangażowawszy się w polityce gabinetu, — zdoła uczynić zadość potrzebom kraju.

Prezesem Koła Polskiego został dr. Stanisław Łazarski poseł do parlamentu, adwokat utalentowany, demokrata, z przekonań nie należący do żadnego stronnictwa. Ci co go znają osobiście, twierdzą, że jest człowiekiem charakteru niezależnego, zdolnym, energicznym i postępowym; w sądach i w parlamencie dał się poznać jako doskonały mówca.

Dr. Łazarski należał czas jakiś do demokratów krakowskich i obecnie są mu stosunkowo najbliżsi.

Wybór dr. Łazarskiego na prezesa Koła był niespodziewany i był wynikiem kompromisu pomiędzy stronnictwami politycznymi.

Narodowi demokraci sprzeciwili się wyborowi posła Germana, który niedawno opuścił ich szeregi; demokraci zaś niechętnie godzili się na p. Stwiertnię (członka swojej grupy), sądząc, że będzie zbyt uległy nacjonalistom. P. Starzyński podolski wstecznik sam cofnął przezornie swoją kandydaturę widząc jak jest niepopularną. Wybranie na prezesa Koła p. Łazarskiego ma swoje dobre i złe strony.

Wobec rozbicia w jakim Koło się obecnie znajduje, dobrze jest, że prezesem jego będzie człowiek nienależący do żadnego stronnictwa a więc bezstronny, a jednak demokrata i postępowiec; z drugiej jednak strony prezes poza którym niema silnego stronnictwa nie może mieć dużego wpływu i łatwo stać się może igraszką walczących ze sobą grup.

Eks-minister Biliński odegra, jako zwykły parlamentarzysta, niewątpliwie rolę wybitną i zdobędzie wpływ znaczny. Nieulega wątpliwości, że mieć będzie za sobą ludowców — niezadowolonych z rezultatów „wymiany mózgów".

Dotychczasowi vice-prezesi Koła: Stwiertnia, Stapiński i Górski złożyli swoje urzędy gdyż trzeba było, wobec ustąpienia Głąbińskiego, dać narodowym demokratom jedną vice-prezesurę. Wybrano ponownie Stwiertnię, Stapińskiego i Ptasia (nar. dem.). Narazie więc konserwatyści nie mają vice-prezesa. Obiecano im jednak, że statut Koła zostanie zmieniony, i że zamiast trzech, będzie odtąd czterech vice-prezesów, tak, że konserwatyści mieć będą mogli swojego.

Zmiana ta nie wyjdzie na korzyść Koła, gdyż w prezydjum złożonym z 5 osób, tarcia będą bardzo znaczne. Stanowisko zaś prezesa Koła będzie przez to niewątpliwie osłabione.

Sprawa sejmowej reformy wyborczej wcale się nie posunęła naprzód. Sejm dotychczasowy jest ostatnią cytadelą konserwatystów, w której czują się silni. Oczywiście więc nie śpieszą się go zmieniać. Demokraci zaś bezprzymiotnikowi, że już nie mówię o narodowych są zbyt chwiejni, zbyt ulegli aby konserwatyści liczyć się z nimi musieli poważnie. W gruncie rzeczy więc od dobrej woli konserwatystów zależy reforma wyborcza.

P. Stapiński, który zapowiedział ostrą walkę z konserwatystami, uspokoił ich potem w *Przyjacielu*

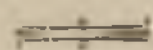
ludu. Odwykł już od walki z nimi i niechętnie do niej wróci. Woli więc czekać i nawiązywać nowe sojusze. Stronnictwa dotychczasowe zużyły się, ludzi zdolnych posiadają coraz mniej. Ci co stoją na ich czele nie mają żadnego programu i prowadzą politykę z dnia na dzień. W takich warunkach walki o poważne reformy nięma, jest natomniast walka o różne drobne koncesje, o stanowisko i osobiste wpływy.

Nasza demokracja potrzebuje kultury, potrzebuje powiewu świeżych prądów zachodnich, nowych ludzi, nowego programu.

Odrodzeniu demokracji przeszkadza znacznie jałowość życia umysłowego w Galicji (wśród burżuazji) i jarzmo starej frazeologji, opartej na przeżytych ogólnikach. Nadewszystko zaś walka narodowościowa z Rusinami. Ludowcy, ten najmłodszy odłam demokracji, są przeważnie stronnictwem chłopskim w stanowczym znaczeniu tego słowa. Polityka ich jest chwiejna i często ciasna.

Ludwik Kulczycki

BADANIA NAUKOWE.



Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie.

(Studjum socjologiczne).

IV.

Walka płci przewija się przez cały ciąg dziejów kultury i trwa dotąd w przeróżnych dziedzinach życia.

Kobieta jest najdawniejszym niewolnikiem, daleko wcześniejszym, niż niewolnictwo, jako formacja społeczna, wynikła z wojen międzygromadzkich. Wszędzie, gdzie bywa werbowana gwałtem przez porywanie, kupno, lub jako branka wojenna, jest ona roboczym zwierzęciem domowym, nie należącym do siebie.

W komunistycznych skupieniach Eskimosów spostrzegać się daje objaw znamienny, polegający na tym, że mężczyźni dopuszczają się wymiany wzajemnej swych żon, jak gdyby to były przedmioty osobistego użytku. W swym charakterze niewolnicy, kobieta stała się wynalazczynią rolnictwa, stanowiącego ważną dźwignię cywilizacji i społecznych przewrotów.

Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie pod względem socjologicznym budzi inny, jeszcze ważniejszy interes, niżeli oświetlanie pewnych przejawów kulturalnych.

Miłość ta jest z pośród niewielu innych, może najstarszym czynnikiem skupiającym, który powołał do życia gromadzką metodę bytowania.

Dla tym lepszego rozumienia tego, należy się rozejrzeć w stosunkach, zachodzących pod tym względem u zwierząt. O zrzeszaniu się stadowym Günther wyraża się jak następuje: „stwierdzono wielokrotnie, że w sprawie utrzymania gatunku zmysł stada jest bardzo korzystnym czynnikiem". Przyrodnicy nie widzą żadnego powodu inaczej tłumaczyć powstawanie zrzeszeń ludzkich niż powstawanie społeczeństw zwierzęcych. Brehm, mówiąc o jaskółce morskiej (*Sterna hirundo*) tak się wyraża: „Samiec i samiczka jednego stadła mają dużo przywiązania do siebie; okazują również dużo czujności względem swego potomstwa i narażają się dlań na niebezpieczeństwa, których unikają w każdym innym wypadku. Jeżeli one dla wylęgu tworzą liczne skupienia, to prawdopodobnie dlatego, że posiadają świadomość, iż zdołają lepiej oprzeć się swym wrogom, łącząc swe siły, niżeli działając w odosobnieniu.

Stowarzyszanie się, jako środek ubezpieczeniowy, szczególnie często zachodzi u zwierząt podczas takiej chwili życia, która w interesie zachowania gatunku szczególnie pożąda ubezpieczeniowego środka. To też skupienia wielu osobników w jednym miejscu spostrzega się podczas godów weselnych, podczas wylęgania jaj u ptaków.

Gdy mowa o czynnikach zrzeszających jestestwa ożywione, zauważyć należy, że miłość płciowa i rodzicielska nie jest jedynym czynnikiem tego rodzaju, choć może najsilniejszym.

Paweł Combes wylicza cały szereg okoliczności naturalnych i zewnętrznych, które skupiają w jednym miejscu większą ilość zwierząt jednego gatunku. Oto ich lista: 1) ograniczoność miejsca dla wylęgu, 2) dogodność danej miejscowości do osiedlania się w niej, 3) pogoń prześladowcy i wynikająca stąd ucieczka wielu zwierząt w jedno bezpieczne miejsce, 4) obfitość żeru w danym, ograniczonym miejscu, 5) uganianie się za jedną samicą lub za jednym łupem, 6) narodzenie się na ograniczonym lub przez niebezpieczeństwo zamkniętym terenie, większej liczby zwierząt.

Wszystkie wymienione okoliczności zewnętrzne wytwarzają przypadkowe, najczęściej przemijające i przelotne zbiorowiska zwierzęce, t. zw. *bierne*, t. j. nie ożywione wspólnym celem i wysiłkiem. Pomimo tego, gdy zważyć, że często one zachodzą, nie można im odmówić pewnego, choć słabego społeczno-wychowawczego działania, gdyż bądź co bądź oswajają one z życiem w skupieniu. Combes utrzymuje, że pod wpływem okoliczności zewnętrznych bierne skupienie może naocznie przeobrazić się w czynne. Spostrzeżenia nad życiem bobrów mają wskazywać na taki przyspieszony wpływ zewnętrznych warunków istnienia. Na odpowiedzialność Pawła Combesa powtarzamy za nim następujący wynik spostrzeżeń. Podatne warunki do osiedlania się skupiają bobrów w jedno miejsce, początkowo w skupienie bierne, lecz potrzeba miarkowania wody jest tą okolicznością, która zamienia początkowo bierne skupienie bobrów w czynne, ujawniające się w zbiorowym budowaniu tamy.

Skupienie choć przypadkowe bierne i nie zamierzone, powoływane do życia przez wyżej wskazane okoliczności zewnętrzne, lepiej zabezpiecza uczestników skupienia przed napaścią W wypadku skupienia zwierząt większa ilość oczów, uszów i węchów czuwa, wypatruje, nasłuchuje i węszy skradanie się prześladowcy. Oczy, uszy te i węchy zwracają się przytym w większą ilość stron, co zwiększa pole i sferę, objęte czujnością. W wypadku nieoczekiwanego napadu odporność skupienia zwierzęcego jest większą, niż przy odosobnionej formie bytu. Częstsze doświadczanie skupień przez zwierzęta, częstsze doznawanie i opamiętywanie błogości, związanej z uczuwaniem bezpieczeństwa podczas stanu skupienia z czasem utrwala u zwierząt usposobienie towarzyskie lub przyzwyczajenie towarzyskie.

Zasadą przyrodoznawstwa jest to, że przyzwyczajenie jest początkiem instynktu, przeto pod wpływem długotrwałego doświadczenia oswojenie i przyzwyczajenie może znaleźć silniejszy wyraz pod postacią instynktownego popędu towarzyskiego. Niektórzy badacze zjawisk socjologicznych za punkt wyjścia swoich wywodów zgodnie obierają sobie „popęd towarzyski", nie zadając sobie trudu dochodzić, skąd się taki popęd u człowieka mógł wziąć?

Do takich badaczy należy Schurtz.

To, co poprzednio wyłożyliśmy, wypełnia ową lukę, będąc skreśleniem prawdopodobnej historji naturalnej owego popędu towarzyskiego u zwierząt. Popęd ten, doszedłszy do pewnego stopnia siły, staje się

niezbędnym psychologicznym warunkiem, zdolnym dać początek społeczeństwom zwierzęcym, przedsiębiorącym zbiorowo czyny samozachowawcze i ochronno-żywicielskie względem potomstwa. Ponieważ stadowa forma bytowania lepiej zabezpiecza osobnika zwierzęcego i jego gatunek, przeto osobniki zwierzęce ze słabszymi popędami do skupiania się łatwiej wyginą, niż te, u których ten popęd silniej się rozwinał. Dzięki temu, na drodze doboru naturalnego, popęd stadowy się wzmaga i wzmacnia

Ze wzmożoną właściwością ubezpieczeniową stadowego bytowania licuje fakt, że najczęściej ta forma bytowania spostrzega się u takich gatunków zwierzęcych, które skąd inąd są upośledzone pod względem narządów obrony i napaści.

Stadowe bytowanie zjawia się tu, jako kompensata braków ustrojowych. Kopytkowe, przeżuwające, trawożerne, roślinożerne często żyją stadami; drapieżce zaopatrzone w dużą siłę, kły, pazury, szybkość i gibkość ruchów, najczęściej odosobniony byt prowadzą.

Jeżeli okolicznościom zewnętrznym, wyliczonym przez Combesa przyznajemy własności czynnika skupiającego, pośrednio przyczyniającego się ze swej strony do powstania popędu stadowego, to w rozwoju form życia przyznajemy temu czynnikowi jedynie rolę pomocniczą.

Główna rola przypada pod tym względem miłości płciowej i rodzicielskiej, która bezpośrednio zmierza do wytworzenia rodzinnego stada z funkcjami ubezpieczeniowymi pod względem osobnikowego samozachowania i zachowania gatunku; jest to zasadniczą cechą społeczeństw zwierzęcych i ludzkich i na tej podwalinie powstaje właściwość duchowa pod postacią solidaryzmu społecznego, objawiającego się już w społeczeństwach zwierzęcych. Solidaryzm skupień zwierzęcych, ich ożywienie wspólnym celem i wysiłkiem samozachowawczym przedstawia wysoki stopień socjalizacji czynnej w odróżnieniu od biernej i przypadkowej.

Przykładów silnego solidaryzmu stad zwierzęcych możnaby cytować bez liku i nie ulega on żadnej wątpliwości. Dość widzieć silne wzruszenie, niepokój, stan choroby nieraz, jaki ogarnia zwierzę, gdy się je przemocą odłącza od jego stada i te rozpaczliwe wysiłki, jakie ono robi, by do swego stada powrócić.

Z tego, co poprzednio zaznaczyliśmy, ustala się fakt, że popęd towarzyski pod działaniem całego szeregu okoliczności, a w pierwszym rzędzie pod działaniem miłości płciowej i rodzicielskiej genetycznie wyprzedził pojawienie się człowieka na ziemi, gdyż stał się on dobytkiem psychiczno-ustrojowym wyższych zwierząt. Wobec tego staje się prawdopodobnym, że popęd towarzyski jako produkt ewolucyjny był wrodzonym człowiekowi w samych początkach jego pojawienia się, jako dziedzictwo po jego zwierzęcych przodkach.

Jeśli zwrócimy uwagę na byt dziś żyjących dzikich, pozostających lub strąconych na najniższe szczeble cywilizacji, to zauważymy formy bytu bardzo zbliżone do tych, jakie spostrzegamy u małp. Weddasi Cejlonu np. tworzą tylko małe odosobnione skupienia, raczej najmniejsze skupienia, w postaci t. zw. „hord rodzinnych" (Familienhorde). Przebywają oni w wydrążeniach lub w rodzaju chat - gniazd zbudowanych na drzewach. Chaty te są podobne do nadrzewnych budowli w Nowej Gwinei, opisanych przez Schurtz'a. Tylko w nadzwyczaj krytycznych razach łączą się Weddasi w większe gromady.

Punktem wyjścia w rozwoju bytu społecznego u człowieka była komórka społeczna pod postacią t. z. hordy rodzinnej. W takiej hordzie rodzinnej, natrafia się już na zaczątki podziału pracy, opartej na fizjologicznej różnicy uzdolnień uzależnionych od płci i wieku, natrafia się też na zaczątki władzy, wspartej na przemocy najsilniejszego w hordzie. Gdy postępy w wynalazkach technicznych umożliwią wyżywienie większej liczby ludzi w jednym miejscu i gdy skutkiem powstałego stąd zgęszczenia ludnościowego, hordy rodzinne przestają powstawać w znacznej odległości od siebie, to drogą naturalnego rozpłodu pomnażająca się horda rodzinna pozostawać musi w ciaśniejszych granicach terytorjalnych w stanie skupienia. To daje początek większej jednostce społecznej, pod postacią rodu. Rozmnożony ród, pod postacią osiadłych w pobliżu, poszczególnych podobnych rodów tworzy plemię. Wymogi napaści i obrony wywołują łączenie się plemion w większe organizacyjne zbiorowiska ludzkie, rozwijające się w myśl praw, które rozpoznawać nie byłoby tu na miejscu.

W życiu ludzkim znajdują zastosowanie również i te normy które warunkowały rodzicielskie ustosunkowania u zwierząt. Ponieważ człowiek wydaje małą liczbę potomstwa, pozostającego przez dłuższy czas niedołężnym i niezdolnym do samoistnego bytu, przeto przykuwa ono w interesie zabezpieczenia gatunku przez dłuższy czas do siebie i mężczyznę i kobietę. To sprawia, że mężczyzna, pozostając przez czas dłuższy w pobliżu tej samej kobiety, uczuwa skłonność powtarzać z tą samą kobietą akty rozpłodowe. Daje to początek monogamicznej rodzinie, zwłaszcza gdy osiadły tryb życia, wywołany terytorjalnymi wojnami i zdobyczami techniki rolnej unieruchomią rodzicielską parę i zamkną ją w trwałym domostwie.

Westermarck wykazał, że rodzina będąc pochodną instynktu zachowania gatunku istnieje już u małp naczelnych i jest wcześniejszą, niż pojawienie się człowieka na ziemi. Wobec tego, ci którzy jęczą i ubolewają nad upadkiem rodziny, widząc, że formy rodzinne wyłamują się z pod narzuconych przymusowych praw małżeńskich, stają się ogromnie komiczni i budzą litość swoją bezgraniczną głupotą. R o d z i n y i s t n i a ł y w ó w c z a s, k i e d y o ż a d n y c h p r a w a c h p i s a n y c h j e s z c z e n i k o m u s i ę n i e ś n i ł o i t r w a ć b ę d ą j e s z c z e w ó w c z a s, g d y d z i s i e j s z e f o l j a ł y p r a w o d a w c z e s p o c z n ą z ł o ż o n e w m u z e u m d z i w o l ą g ó w z z a m i e r z c h ł y c h b a r b a r z y ń s k i c h c z a s ó w. A dziać się to będzie dlatego, że rodzina nie opiera się na sankcji prawodawczej, lecz na trwalszych i silniejszych podstawach fizjologicznych. Jeżeli formy rodzinne nie pasują i naigrawają z prawa małżeńskiego, wraz z życiem, z którego one się wyłaniają, to nie jest to dowodem, że rodzina upada tylko dowodem, że prawo stało się jak zwykle zwaliskiem życia. Prawodawstwo w najlepszym nawet razie, nie posiada w sobie żadnych pierwiastków twórczych prócz może w krótkotrwałych początkowych chwilach oświeconego absolutyzmu, który prędko spada do poziomu absolutyzmu obskuranckiego.

Jedynym pożytecznym prawem jest to, które wynika z niczym nie krępowanej, często odnawianej umowy.

Alexy Kurcyusz.

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

W kształt linji spiralnej.

(Dokończenie).

Jeżeli nasi militaryści z Frakcji za Konradem z „Wyzwolenia" wołają: „Chcemy rzeczywistej Polski choćby najgorszej i chcemy o nią walczyć wręcz, gdyż

t. zw. pozytywna organiczna praca jest utopią i obłudną iluzją burżujów, podobnie jak burżujskie zwalczanie handlu żywym towarem i walka z alkoholizmem" — to nie jest to bynajmniej taki sam odruch powstaniowy jak w poprzednich etapach myśli powstaniowej, lecz przerafinowane zwężenie programu, ambicja osiągnięcia rekordu w realizmie politycznym. P. Adam Płomieńczyk, który w ciekawym i niespodziewanym artykule w XIII Nr. *Życia* Daniłowskiego p. t. „Fetysze ideologiczne" powiedział, że jemu patrjotyzm nie wystarcza jako uczucie żywiołowe, że „z tego iż *jesteśmy* Polakami nic jeszcze nie wynika", że patrjotyzm nasz musi czerpać uzasadnienie (sic!) nie wprzeszłości lecz w przyszłości, — przemycił do *Życia* kontrabandę, gdyż jego myśli wcale nie licują z myślowymi założeniami Frakcji i *Życia*. — Także socjaliści, ci zacięci wrogowie utopji jako przeżytków racjonalizmu, płacą dań duchowi Russa, gdy oparłszy swój program na odkrytych przez Marksa prawach rozwoju ekonomicznego starają się naśladować naturę czy to przez wyczekiwanie jej zdarzeń według recepty ortodoksyjnej — czy też przez czynne urzeczywistnianie marksowskich przepowiedni, służących im w tym wypadku za taką samą porękę zwycięstwa jak Makbetowi wróżby czarownic.

Przy tego rodzaju roztrząsaniach autorytet Brzozowskiego nie może być pominiętym. W „Legendzie" mówi on o „intoksynacjach psychologiczno-historycznych", o bowaryzmie, o entuzjastycznych powrotach do portu filisterskiego — cała jednak jego djagnoza tych spraw jest odmienna. Pojmuje on je w związku ze swoją filozofją pracy, z romantyzmem, którego definicję do tej filozofji naciąga. Upatruje on w objawach podobnych tutaj przytoczonym tylko skutki oddarcia od bezpośredniej spójności z pracą i dedukuje to historycznie i socjalistycznie. Ja natomiast pozwalam sobie twierdzić—a może to się wydać zwężeniem horyzontu—że wszędzie chodzi tu tylko o pewien czysto myślowy problemat, o pewną, że tak powiem figurę myślową, koło której się ludzkość kręci, — czy chwilowo czy ciągle, to mnie nie obchodzi. Romantyzm jest jedną szczególną konstellacją tej figury; zresztą da się ona wykazać i w codziennym życiu bez historycznych perspektyw, które ją co prawda zaostrzają. I tak np. jeżeli p. Minkiewicz mówi, że trzeba najpierw odkryć logarytm własnej duszy a potem żyć urzeczywistniając go, to jest to sobie takie samo naśladownictwo natury, jak gdy socjaliści—Makbeci urzeczywistniają logarytmy Marksa; jest to przedwczesne rozwiązanie problematu myślowego, który przez rzucenie go na tło stosunków pracy bynajmniej nie będzie rozświetlony a chyba zeskamotowany.

Brzozowski powiedziałby — jak się zwykle mówi — że to problemat fikcyjny i że ja jako racjonalista czy jak tam, redukuję wszystko do „błędów". Nie będę tu jednak zbaczał do swoich rezerw, lecz polemizując rozwijam swoje myśli dalej. Oto i Brz. sam popadł w sieć tejże samej figury logicznej — mianowicie gdy nawołując do ocknienia się, stosuje mniej lub więcej wyraźnie stary, lecz bardzo szanowny gest Russa: *regres*. Regres, reintegracja — to znaczy cofanie się aż do genezy lub do tego punktu, w którym się stało jakieś proton pseudos, by teraz od tego punktu iść już drogą prostą, właściwą. Fikcją pomocniczą Brz. — tak samo dobrą i złą jak fikcja Russa, który przecież także swego człowieka abstrakcyjnego dosłownie nie brał,—jest człowiek żyjący w równowadze warunków pracy przed czasem, w którym zdarzyło się „oddarcie" (jego ulubione słowo). Naturalnie jest to ideał przyszłości odbity dla ułatwienia w medjum przeszłości. — Wogóle żaden myśliciel zajmujący się sprawami kultury, nie może się obejść bez figury regresu. Nietzsche używał jej obficie, gdy wywodził narodziny tragedji, chrześcijaństwa i t. d. Tylko nie trzeba tego aparatu używać tak bezkrytycznie jak Przybyszewski, gdy wywodził sobie muzykę i poczję z narodzin Metasłowa w czasach jaskiniowych i wizją tych pięknych czasów olśniewał zdumioną i podziwiającą Polskę, — albo jak p. Ordyński, który w grudniowym Nr. *Krytyki* wyprowadza dramat koniecznie z mimiki, tańca i gestu, a słowo uważa za dodatek — jakgdyby i ono gestem nie było, to jest najwalniejszym i najlepszym wyrazem tych zajść duchowych, które się przecież i w mimice uwydatniają i jak gdyby gest sam przez się bez tego podkładu choćby niedopowiedzianego coś znaczył.

Z regresem łączy się zwykle pojęcie „nawiązywania" do straconego „wątku", gdyż nietylko „stare łotry, nocy dzieci nawiązać chcą starganą nić" — a stąd płyną rozmaite „neo". Mówi się wtedy o przełomie, jaki przechodzi nasza epoka i stawia dyagnozy mniej lub więcej tragiczne Zagadnienia takie stają się tem bardziej aktualnymi, że — o czym się właśnie zapomina — dzisiejsza twórczość kulturalna jest uświadomioną, nie zadowala się spełnianiem najbliższych zadań, lecz dba o wygląd całokształtu, o kartę w historji i opinję u potomności, rywalizuje z poprzednimi epokami, chciałaby skorzystać z ich doświadczenia i wysadzić się ponad nie. Wprawdzie Brzozowski domaga się „historycznego planu" i zarzuca teraźniejszości brak perspektyw historycznych, a p. Koneczny w „Teorji Grunwaldu" ubolewa, że nie umie się teraz „robić historji". Lecz te utyskiwania są właśnie symptomem czasu, który ma „historyczne" wyrzuty sumienia i na swoje udręczenie wymyślił nawet historjozofję. Dziś nawet rewolucji nie można robić ani przeżyć naiwnie, gdyż się zaraz narzucają przykłady z przeszłości, asocjacje, porównania, — zaledwie koniuszek jej nosa wychylił się z łona dziejów, a już zaczyna się ją recenzować, przesadzać, legendyzować, petryfikować („żyjemy w chwili historycznej") tak, jak byłaby czemś dokonanym i minionym.

Byłem do niedawna takim barbarzyńcą, że nie miałem żadnych zmartwień kulturalnych i mówiłem: Niech sobie kultura i historja same dają rady, my róbmy sumiennie to, co ze względów merytorycznych uważamy za stosowne! Nie wyznaczajmy sobie zadań zbyt dalekich i wysokich, gdyż jest to najlepszy sposób ominięcia zadań blizkich i konkretnych. Robić historję? Ale czyż historja nie robi się sama? Ś p. Mokłowski swego czasu krzyknął: nazad do Zakopiańszczyzny! i obawiam się że nie usłuchano go. P. Feldman krzyknął: nazad do romantyzmu! I obawiam się również, że go nie posłuchano. Na szczęście i Feldman i Brzozowski mają taką fantazję, że dostrzegą romantyzm, gdzie im się spodoba.

Takim byłem barbarzyńcą. Ale nagadano mi tyle o tej tam kulturze, że mnie wreszcie zahukano. I aby w tym chaosie uratować zdrowy rozsądek, musiałem sobie kwestję ustawić samoistnie.

Nie ulega wątpliwości, że „postęp" utracił dziś pierwotny rozmach i patos. Winne jest tu może głównie nagromadzenie surowego materjału. Po pierwsze: pamięć ludzkości wzbogaciła się ogromnie. Przeszłość pocięto geologicznymi przekrojami w różnych kierunkach, wydobyto nietylko mnóstwo skamienielin, ale nadto wątków jeszcze żywych, niedokończonych. Pietyzm dla przeszłości rozczula nam nietylko serca, ale i mózgi. Bo wszakże to wszystko wrzeszczy do nas: dorób! dokończ! przyjacielu, prawnuku, zbawco — chcemy przez ciebie odżyć wzgl. żyć dalej! I żal nam tylu żywcem pogrzebanych, bo wszakże to my, to ludzkość, to nasze dzieje — więc: pamiętamy, pamiętamy, dorabiamy, kończymy, kontynuujemy... (Patrz np. wydawnictwa z przeszłości). A powtóre: doświadczenie nasze rośnie nietylko na wstecz lecz i na wszerz, analizujemy coraz dalej obecny materjał. Tworzą się nowe nauki, odkrywają się jakieś nowe promienie, nowe pierwiastki, nowe dziedziny dla zainteresowania ludzkiego tam, gdzieby się nikt nie spodziewał. Mimo wołań o syntezę nauka ato-

mizuje i autonomizuje się wszędzie. Każdy szczegół zdobywa ważność w życiu, pielęgnuje się go osobno: wszystko staje się trudnym i skomplikowanym. Gdy dawniej Hebbel chciał wyszykanować logikę jako naukę niepotrzebną, pisał: uczyć się myśleć to tak jakby kto uczył się oddychać! Nie przeczuł, że dziś nawet oddychanie stanie się przedmiotem studjów, książek i ćwiczeń, a lekarze twierdzą, że na stu ludzi zaledwie kilku porządnie oddycha. To zróżniczkowanie jest sprawą istotnie tragiczną, lecz w stylu Wellsa nie Wyspiańskiego. Bo każda nowa dziedzina odkryta w życiu woła również o uwzględnienie jej lub wcielenie do całokształtu naszej twórczości. Brzozowski pisze gdzieś o tym: że wszystko musi być uratowane.

Przedtym skłonny byłem uważać każde „nawiązywanie" za bezpłodny powrót do pewnego punktu na obwodzie koła i wyobrażałem sobie, że twórczość dzisiejsza powinna bez oglądania się na przeszłość wypełniać sobie właściwe, swoiste zadania, zaś przykłady z przeszłości mają być dla niej chyba tylko zachętą do oryginalności we własnym zakresie. Lecz szatańska djalektyka może zakwestjonować i tę zbyt ostrożnie izolującą się oryginalność. Oto co mówią epoki poprzednie do dzisiejszej, posługując się Nietzschem: „Nicht mir sollst du folgen, sondern dir. Und erst wenn du dir folgst, dann folgst du mir".

Na to się epoka dzisiejsza wziąć nie powinna. Linja dalszego rozwoju twórczości kulturalnej nie powraca wprawdzie do opuszczonych „wątków" i nie przecina ich, ale przechodzi obok nich kształtem linji spiralnej. Kto wie bowiem, czy jednym z jej swoistych zadań nie jest właśnie uporanie się z balastem pamięci, z niebezpieczeństwem zróżniczkowania się postulatów życiowych. Naiwna zachłanność neoistów niech nikomu nie zbrzydza chęci uporania z tymi przeszkodami, które są zarazem swoistym materjałem. Czy owe wątki nasza twórczość wcieli, czy w inny sposób je wyzyska, czy też wogóle odrzuci — tego tu rozważać nie będziemy. W każdym razie stosunek jej do nich powinien się obywać bez pokory i samozrzeczenia się, lecz być pełnym pewności siebie i swojej odrębnej roli.

Karol Irzykowski.

Kronika teatralna.

Kilka uwag o sztuce Gabrjeli Zapolskiej:
„Panna Maliczewska".

Nowa sztuka Gabrjeli Zapolskiej pod tytułem 1- voto „Metresa" (ze względu na samą nieprawość związku nazwa nie zalegalizowana przez moralną prasę miasta Krakowa) 2-o voto „Panna Maliczewska".

Do galerji sióstr—ofiar Sexu męzkiego, do Kaśki, Findesieclistki, Elki, Janki, Małki, Jadwigi... do długiego łańcucha martyrowanych egzysteneji kobiecych, ostro odcinających się od nadirowych im Muszek Drohojowskich i Żabusi, przybyła a raczej dorosła panna najmłodsza Stefanja Maliczewska. Stanęła ona dopiero na pierwszym etapie siostry swojej Kaśki Karjatydy. Dziecię „wsi Biedoty", statystka teatru, lat dziewiętnaście, duże piękne oczy, „linja" i coś nie coś z psychicznej konstrukcji Mimi Pinson, a więc wszystkie według autorki „Menażerji ludzkiej" dane, by kobieta musiała lec w błocie u stóp „niezwalczonego zwycięzcy i tryumfatora w zapasach życiowych" — mężczyzny.

Jesteśmy właśnie przy prologu życiowego dramatu Stefanji Maliczewskiej (może z czasem i epilog ujrzymy). Skuplerowana przez „chrześcijańską gdowę" Annę Żelazną, praczkę, u której mieszka kątem, w pierwszym porywie nawpół nieświadomej „godności" kobiecej, broni się Stefka przed gwałtem ze strony Dulskiego, Ahaswera, Dauma, by ulec wkrótce wymogom nędzy życiowej, „długom", stać się „Metresą" swego uwodziciela, szamotać w klatce nędznego haremu, wysłuchiwać długich a świętoszkowych peror skąpego i zazdrosnego pana władcy, przejść (z melodramatycznym otarciem się) obok sztubacko-pozerskiej miłości młodego Dauma, znaleźć wreszcie nowego posiadacza w osobie Korskiego, Boguckiego i... tu zapowiedź, że dalsze etapy nie wiele w istocie swej różnić się będą od perypetji „Findesieclistki" bodaj.

Zarówno w swej fabule jak w treści i formie jest „Panna Maliczewska" typowym dramatem Zapolskiej. Widzimy w nim ślady wszystkich faz literackich, przez jakie przeszła organizacja twórcza autorki od naturalistycznych poglądów „Przedpiekla" po przez wpływy strindbergo-przybyszewskich zagadnień płci branych atoli w stosunku odwrotnym („Mężczyzna") aż do symbolizowanych poetyzacji stadjum ostatniego w „Jak tęcza", czy w „Córce Tuśki". Ponadto przewijają się przez sceny dramatu czechowskie smugi szarej melancholji życia codziennego, migocą maupassantowską ironją djalogi, błąkają się echa wedekindowe (choćby w scenie aktu drugiego Stefa-Wendla i młody Daum-Melchjor).

Zapolska należy do kategorji artystów życia nawskroś i tylko współczesnego, zmysł historyczny jest jej zupełnie obcy, wrosła ona całym jestestwem swym w „wiek pary i elektryczności" i „nadczłowieka" (znów branego w stosunku odwrotnym), przyczym twórczość autorki „Pani Dulskiej" nie da się ocenić bez łączności ze środowiskiem. Zapolska to typ talentu najbardziej podatny do stwierdzania teorji Taine'a. Świat „złych wirów miejskich", światki teatru i redakcji, zatęchła atmosfera małżeńskich małomieszczańskich alków z przymieszką od czasu do czasu zapaszków wiarołomstwa, talmudyczno-geszefciarskie środowiska naszego ghetta, lekkie potrącanie o „dobrze urodzonych", „wolni najmici" na braku miejskim, cały ten wreszcie tłum, snujący się po trotuarach, zawalający kawiarnie i handelki, skurczony nad biurkami, ślęczący nad gramatyką, kwestujący, plotkujący, zżerający się nawzajem, — oto światy Gabrjeli Zapolskiej.

Obraca się w nich ona z całą swobodą majstra wtajemniczonego w szpagatowe arkana sobkostwa, perfidji, filisterstwa i blagi poruszające te figurynki, z całym wartkim temperamentem kobiety nerwowej puszcza je w ruch tuzinami, skłębia, plącze, czasem nagle zatrzyma się cyklowo nad wybranym typem, otoczy go całą galerją pomniejszych, oświetli (nie prześwietlając zresztą wskroś), odrze z togi frazesów o podszewce podłostek lub z miłością w tkliwy sentyment otuli, zabije wreszcie i podąży ku innym. I czy w formę powieści przyoblecze akordy swych postaci Zapolska czy w dramat je zgmatwa, żyją one zawsze, rzec możnaby, gorączką bujnej wegetacji jaka cechuje autorkę „O czem się nie mówi", a choć głębinowych tajemnych praw psyche wszechludzkiej nie dojrzeć z pod współczesnej charakteryzacji każdego typu, choć niedociera artystka „do źródeł duszy", ale te sformowane w potoki, te w odpływach już prądy maluje barwnie szerokimi jaskrawymi często plamami czy to w kanałach pracowitych, czy w płaskich brzegach strug płytkich, czy wśród upłazów urwistych, po których kaskadami spadają, migocąc w słońcu tęczowym rozpyłem.

Powracając do ostatniego dramatu Zapolskiej widzimy, że jest on dołączeniem jeszcze jednego składnika do subjektywnej formuły męczeństwa kobiecego, że nie będąc punktem zwrotnym w twórczości artystki, jest podłożem dla nowego względnie typu (o ile, że panna Maliczewska powstała z embrjona — owej statystki z „Antysemitnika"), i że jest typu tego uplastycznieniem dosadnem.

Sztuka z punktu widzenia t. z. „sceniczności" posiada wszystkie zalety analogicznych utworów Zapolskiej: jest zbudowana w linjach czystych, prostych o pewnym, rzekłbym, czechowskim spokojnym szeregowaniu obrazów w pierwszych dwóch aktach i silniejszym zadzierzgnięciu węzła w trzecim, ma jednak przytym momenty niepozbawione melodramatyczności i wkładkowego poetyzowania, posiada doborowe stopniowanie efektów (epizod z chlebem Kuleszy w pierwszym akcie) i dobrze pod tym względem wyzyskane sytuacje, rodzajowość wszystkich typów (z wyjątkiem Dauma wtedy gdy traci swój rysunek kosztem ideowego współczynnika do wyżej wspomnianej formuły o męczeństwie kobiecym) przewija się w soczystych, bujnych plamach.

Wystawa i reżyserja staranna, jaką ze wszystkich polskich scen tylko w Rozmaitościach widzieć można w sztukach analogicznego zakresu.

Kazimierz Wroczyński.

NA DOBIE.

Targowica rydzyńska.

Rząd pruski, mimo całej wprawy w łupiestwie, nie mógłby zagarnąć olbrzymiej ordynacji rydzyńskiej teraz właśnie, w dobie wytężonej walki o ziemię, gdyby na pierwsze skinienie nie pośpieszyli doń z usłużnym „świadczeniem" hrabiowie A. Wodzicki z Krakowa i H. Potocki z Warszawy.

Ci dwaj wybitni członkowie naszych stronnictw zachowawczych, wespół z ostatnim ordynatem dziś nieżyjącym księciem Antonim Sułkowskim, znaleźli możność „realizacji" zasad „ugodowych" w Berlinie, d. 10 lipca 1908 r., przy ul. *Unter den Linden*, gdzie mieści się pruskie ministerjum oświaty.

Tam bowiem, jak świadczą ujawnione świeżo dokumenty, zawarto stosowną „ugodę", celem uszczuplenia ziemi polskiej o 15.000 morgów, wzamian za co rząd pruski obiecał usłużnym magnatom wypłacić w gotówce 5 miljonów marek „tytułem odpłaty" (*als Entgeld*)...

Z niebywałym cynizmem, czarno na białym wypisano szczegóły owej tranzakcji w formie aktu o dziewięciu paragrafach, które, jak dziewięć świszczących rzemieni smagać powinny sumienia „historycznych rodów"...

§ 1 opiewa: „Książe ordynat, księżna Sułkowska i hrabiowie Potocki i Wodzicki uznają w imieniu swoim i swych spadkobierców, że fideikomis rydzyński wygasa ze śmiercią księcia ordynata, i że cały w Prusiech znajdujący się majątek ordynacji... przypada na rzecz państwa pruskiego, do wolnego i nieograniczonego rozporządzenia tegoż i w myśl tego zrzekają się na rzecz państwa pruskiego wszelkich pretensji, przysługującym im do tego majątku".

Z pozostałych, zasługuje na uwagę § 4 mocą którego „zobowiązuje się państwo pruskie tytułem odpłaty (*als Entgeld*), za oddane świadczenia (*Leistungen*) wypłacić hrabiom Potockiemu i Wodzickiemu, albo ich spadkobiercom, połowę wartości majątku ordynacyjnego".

Nadto, na mocy § 6 „książe ordynat, księżna pani, jako też hrabiowie Potocki i Wodzicki zobowiązują się zeznać wszelkie deklaracje, które tylko będą potrzebne, by państwo pruskie wprowadzić w posiadanie majątku ordynacyjnego i przeprowadzić potrzebne wpisy w księgach gruntowych".

Oto w całej nagości szpetny akt frymarki mieniem narodowym, bo za takie uważać należy stracone bezpowrotnie dla Polski dobra Rydzyńskie... Istotnie, art. 3 listu fundacyjnego ks. Augusta Sułkowskiego, w myśl ustawy ordynacji książąt Sułkowskich z d. 16 st. 1783 r. przekazuje całe państwo rydzyńskie polskiej Komisji Edukacyjnej, na cele oświaty narodowej. W tych warunkach należało wszystkie siły wytężyć, by niedopuścić do wygaśnięcia fideikomisu i przeszkodzić rządowi pruskiemu w zagarnięciu całej połaci ziemi. Można było przypuszczać, że tak postępować będą agnaci lub spadkobiercy alodjalni, zwłaszcza, że grają wybitne role w polityce, żywiąc nawet wygórowane w tej dziedzinie ambicje, jako przedstawiciele „rodów historycznych". Cóż, kiedy te „rody" mają widać we krwi dziedziczne zarazki Targowicy, udzielające się wszystkim, ktokolwiek z nimi przestaje; świadczy o tym udział w tranzakcji dwóch wybitnych posłów: d-ra Natana Loewensteina, członka austrjackiej Rady Państwa i Sejmu krajowego, oraz d-ra Z. Dziembowskiego z Wielkopolski.

Tak jest! W brzmieniu tych 9-ciu punktów „ugody" rydzyńskiej słychać stuletnie echo Targowicy.

Bohaterowie tej smutnej sprawy winni iść pod pręgierz opinji i znaleźć się poza nawiasem narodu, któremu chcą przewodzić... Skoro rząd pruski opłacił 5 miljonami marek ich usłużne „świadczenia", z kolei winni obaj hrabiowie okupić ów *Entgeld* złożeniem wszystkich urzędów i godności, jakie w tym kraju piastują.

Mamy prawo żądać od nich tego — „tytułem odpłaty".

Jeśli naród polski przestał wydawać ze swego łona witeziów sprawy narodowej, niechże przynajmniej zdobędzie się na to, by czynnie karcić frymarkę i szalbierstwo.

W błędnym kole.

W sprawie kampanji, podjętej przez pewne koła żydowskie przeciw kooperatywom polskim, o czym była mowa w Nr. 2 *Prawdy* w rubryce „Na Dobie" — jeden z naszych czytelników nadesłał nam uwagi tej treści:

„Żydzi przyzwyczaili się już do słuchania zarzutów słusznych i niesłusznych z różnych stron. Ale kiedy zabiera głos takie pismo jak *Prawda* wtedy warto się odezwać. Szan. autor artykułu *Antygoizm wsteczny* wytyka żydom wsteczność, którą widzi w ich walce przeciw kooperatywom. Walka przeciw kooperatywom jest bezwątpienia objawem wstecznym, ale w tym wypadku jest ona tylko tem, czem jest brzytwa dla tonącego. Zważywszy, że drobny handel daje byt całej masie żydów, że innego sposobu do życia nie znają, bo albo są doń nieprzygotowani, albo niedopuszczani, nie dziwmy się, że walczą o swoje istnienie i że rabini im w tem pomagają, nawołując ich współwyznawców hurtowników do solidaryzowania się z tymi nieszczęśliwymi, których byt jest bardzo zagrożony. Wszak jest to też odruch samoobrony. Z czegoż ma żyć ten cały zastęp drobnohandlujących? Na służbę państwową nawet najmarniejszą ich nie przyjmą, pracować przy kolejach im nie wolno, przy tramwajach również, nawet tak marnej posady jak „stróża domu" zająć im nie wolno Wszystkie drzwi są dla tych ciemnych i nieszczęśliwych zamknięte, nic więc dziwnego, że prasa żydowska ima się sposobów wstecznych lub nieobywatelskich, aby swoim braciom pomódz. To nazywa szan. autor wspomnianego wyżej artykułu „żywieniem wygórowanych uroszczeń". Zważywszy, że kooperatywy chrześcijańskie dla całej masy żydów, tych najnieszczęśliwszych z nieszczęśliwych. są klęską, jakież wyjście znaleźć dla dotkniętych nią? Samozaparcie się, poświęcenie? A jakiż to naród poświęcił siebie dla innego? Nie można się dziwić, widząc brak obywatelskości u narodu, któremu się tak źle dzieje jak żydom, a w szczególności polskim ży-

dom. Bo nawet wyłączając ich ubóstwo materjalne, cierpią oni daleko bardziej niż inni żydzi na ubóstwo umysłowe, a co za tem idzie i moralne. A nie są to właściwości rasowe lecz wypływają z warunków życiowych. W żadnym kraju żydzi nie trzymani byli wyłącznie i tak długo na takich umoralniających stanowiskach jak: pachciarzy, faktorów, szynkarzy i t. p. Ale teraz na mnie kolej nie dziwić się: naród, który siebie unieszczęśliwił, nie mógł uszczęśliwić innych".

Autor tego listu przyznaje, że istotnie walka żydów z rozwojem polskich kooperatyw jest aktem antypolskim i wstecznym. Jest to jednak, zarazem „odruch" rozpaczliwej „samoobrony", odruch — naszym zdaniem — niedorzeczny i bezcelowy. „Samoobrona" tego rodzaju żydom nie przyniesie ulgi; raczej przeciwnie. „Tonący brzytwy się chwyta" — ale nikt nie widział, by go to uratowało: natomiast można przewidywać, że utonie z pociętymi dłońmi.

A więc, zamiast pośrednio bronić rabinów, ciemnych, jak tabaka w rogu, tudzież litwackich szalbierzy, stających na czele tej dziwnej krucjaty — poważni żydowscy działacze powinni tonącym kramarzom, zamiast „brzytwy", podsunąć racjonalniejszy sposób ratunku — taki, któryby nie utwierdzał ich naprzekór prawom dziejowym w dziedzinie drobnego handlu, nie snuł intryg nienawistnych przeciw ludności rdzennej, nie urągał kulturze nowoczesnej i nie nastawał na dobro tego kraju

Tylko taki sposób działania może przerwać *błędne koło nędzy* żydowskiej, wszystkie inne coraz je będą zacieśniać...

A jeśli takiego sposobu *niema*, to go trzeba — *wynaleźć.*

„Moja Pani" (przyczynek do „socjologji chrześcijańskiej").

Z chwilą gdy na horyzoncie wiedzy wybłysła nowa gwiazda w osobie ks. prof. Zimmermanna, którego zgiełkliwy debiut zwrócił powszechną uwagę — poczęto ze zdrożną ciekawością badać dorobek naukowy tego chrześcijańskiego socjologa.

I oto wyszło na jaw, że prócz nikłej rozprawki seminaryjnej p. t. *Die Bank Przemyslowców in Posen*, oraz dwuch broszurek o 63 i70 str. druku, światły profesor ogłosił jedno tylko dzieło większych rozmiarów (175 str). Zasługuje ono ze wszech miar na uwagę, a nosi tytuł: *„Moja Pani, studjum z natury, przyczynek do psychologji księżych gospodyń"*. Poznań 1911, czcionkami druk. i księg. św. Wojciecha. Wybitne swoje dzieło nazwał zrazu ks. Zimmermann „Moją Babą" i w tej formie ogłosił w *Kurjerze Poznańskim* pod przejrzystym pseudonimem *Tektander*, co znaczy po grecku „cieśla" czyli „Zimmermann".

Na skutek wiadomych zajść na Uniwersytecie zgłoszono we Wiedniu interpelację do ministra oświaty wraz z gruntownym rozbiorem wspomnianego dzieła. „Ten elaborat — rzekł w parlamencie poseł Daszyński — gdy się stał znanym w Galicji, wywołał wszędzie burzę wesołości. Powstał nawet projekt wyprowadzić „moją babę" na scenę, jako bohaterkę utworu dramatycznego. Wówczas wielki „badacz" profesor Zimmermann, wstydząc się swego głównego dzieła, wycofał je z handlu księgarskiego. Prawie cały nakład został zniszczony i zaledwie kilka „bab" zdołano uratować przed sadystyczną namiętnością ojca duchownego".

Sam tytuł nasuwa wątpliwości co do powagi profesora, lubującego się w tak figlarnych dociekaniach; cóż dopiero, gdy zajrzymy do środka tych nieprawdopodobnych błazeństw!

Na wstępie ostrzega autor, że w książce „nie będzie ani słowa z dziedziny erotyki" (str. 7) Istotnie— zwierza się poufnie ks. profesor na str 72 że „jak tylko sobie zapamiętam (tak!), obrzydliwie mi się robiło na samą myśl o fizjologicznej stronie tej instytucji (małżeństwa)". Mimo tak wyjątkowej i przesadnej idjosynkrazji był ks. profesor przez lat dziesięć pod pantoflem u swojej „Pani" Rózi, która trzymała go krótko, dla byle powodu „grzmiała i błyskała się" (str. 47) nic sobie nie robiąc z nieśmiałych prób protestu ze strony uczonego męża, który temi słowy maluje stopniowy swój upadek: „Z początku dawałem rozporządzenia, potym wyrażałem życzenia, później prosiłem ją, następnie gniewałem się, wreszcie nie chcąc się gniewać, wyjeżdżałem na dwa dni z domu i co miałem jej powiedzieć, pisałem jej z drogi" (str. 54).

Nie wiele to jednak pomogło; autorytet „baby" wciąż wzrastał, okrywając księdza śmiesznością. Pewnego dnia nawiedziła księdza niejaka panna Tykielmann; gdy gospodyni skrzyczała ją po grubjańsku, tamta odpowiedziała: „Co tak Rózia na mnie powstaje, ja przecież nie jestem Rózi księdzem, żeby na mnie tak krzyczeć" (str. 54). Zwierza się też autor ze wszystkich utrapień swego pożycia z „babą", a nie są to rzeczy błahe, jak świadczy następujący ustęp:

„Po cebuli doznaję zgagi i przypominań aż do następnego dnia. Jestem wtedy smutny i $33^1/_2$ proc. niezdolny do pracy. Błagałem ją więc ze łzami, aby nie brała cebuli do żadnej potrawy" (str. 47). Jednakowoż potrawy miały w dalszym ciągu posmak cebuli, chociaż Rózia zaklinała się na wszystkich świętych, że jej nie używa. Wówczas zakradł się ksiądz do kuchni i przekonał się z „boleścią, że miała jej pełną szufladę" (str. 54).

Za wszystko, co od „baby" przecierpiał, mści się profesor zjadliwym opisem jej powierzchowności; „z biegiem czasu — powiada — ręce baby aż do łokcia poczęły przybierać podobieństwo nóg od (!) kur i indyczek. Żylaste były, suche, sine, z łokciami wygniecionymi i oskorupiałymi jak kolana u wielbłąda lub kleryka w trzecim kursie (*sic*).

Nigdy zaś nie mogłem odróżnić, czy to odezwała się nagle indyczka, czy też baba dostała czkawki — takiego podobieństwa nabrały ich głosy". (str. 72).

I tak wlecze się ta płaska, wulgarna humoreska przez 175 stronic sporego formatu. Na str. 164 umieszcza autor coś w rodzaju komentarza, mającego usprawiedliwić wybór tematu: „Przedmiot sam wydawał mi się nietylko dla mnie osobiście zajmujący, ale i nie obojętny dla ogółu... W ostatnich czasach schodzą pisarze do zaułków, suteren, nor i jaskiń ludzkich aby tam z mętów i z dna życia brać motywy i modele... Czyż Moja Pani, dlatego że nie zabija i nie włóczy się po nocach, ale jest wcieleniem wszelkich cnót (!), ma być mniej zajmującym przedmiotem badań? Byłoby to zaiste niesprawiedliwie!"

Bezsprzecznie, romanse kryminalne i humoreski z życia złodziei mają swoją rację bytu, czego dowodem ich poczytność; może też mieć swoją rację bytu i błazeństwo w rodzaju „Mojej Pani"; lecz nie możemy pozwolić na to, by *Moja Pani*, królując w życiu ks. profesora, weszła z nim razem na Uniwersytet Krakowski, jako uosobienie i duch kierowniczy tej całej tak niefortunnie pomyślanej „socjologji chrześcjańskiej".

Występ *Mojej Pani* na Wszechnicy Jagiellońskiej Polska długo chyba odczuwać będzie w postaci zgagi, podobnej do tej, jaka dręczyła ks. socjologa... po cebuli.

Mimo braku „czynników erotycznych" w dziele ks Zimmermanna, obfituje ono od początku do końca w jaskrawą sensację. Ta książka jest sensacyjną przez swą niezmierną głupotę, błahość i płaskość, przez to, że własną księdza autora ręką ujawnia i ośmiesza ten specyficzny świat pojęć plebańskich, które wszak pragną nietylko w życiu górować, ale i na

wszechnicach nam przewodzić. Jeśli duch księżych gospodyń nie opanuje kultury polskiej — będzie to zasługą naszej młodzieży i sprzymierzonych z nią grup postępowych.

Polacy semici.

Z powodu nadchodzących wyborów do wyznaniowej gminy żydowskiej w Warszawie, odbyły się dwa wiece wyborcze, na których jaskrawo zarysowały się dwa stronnictwa: stronnictwo Polaków pochodzenia żydowskiego i stronnictwo nacjonalistów żydowskich.

Na pierwszym wiecu, szereg mówców ze stronnictwa polskiego (przez to stronnictwo bowiem wiece są urządzane), mającego dotąd władzę w gminie, wyświetlił, że działalność żydów-polaków na polu filantropji i na polu oświaty była nader intensywna i zgodna zarówno z interesami mas żydowskich, dążących do oświaty i kultury, jak i z interesami społeczeństwa polskiego, które pragnie spolonizować żydów. Zrobiono w tym kierunku wszystko, co można zrobić w obecnych warunkach politycznych. Przemówienia te były przerywane dziką wrzawą nacjonalistów i drugi dopiero wiec mógł być poświęcony dyskusji. Wszystkie niedorzeczne dowodzenia nacjonalistów żydowskich o konieczności kultywowania żargonu, o niedołęztwie i bezczynności dotychczasowego zarządu gminy, o potrzebie wyodrębniania się żydów wśród polskiego społeczeństwa — znalazły świetne odparcie w przemówieniach pp. Hertza, Gepnera, Wasercuga, Oderfeldowej. Z przemówień tych wiało prawdziwe uczucie patryjotyzmu polskiego, który — oczywiście — dla mas żydowskich pragnie kultury, porzucenia zabobonów religijnych, polskiej oświaty i zbratania z miejscową ludnością. A pragnienie to, jak nas rzeczowo przekonano, nie pozostaje bynajmniej w sferze nieokreślonych chceń, lecz jest poparte bardzo wyraźnymi czynami. W obecnych warunkach politycznych, wobec nawału żydów rosyjskich w dodatku, pozostaje naturalnie wiele do zrobienia, — lecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Polacy-semici będą twardo stać na placówce polskości i będą działać, z zwiększoną bodaj energją, w kierunku spolonizowania i ucywilizowania mas żydowskich.

Żywotność i energja stronnictwa polskiego wśród wyznawców religji żydowskiej jest faktem niezaprzeczonym i niezmiernie pocieszającym

Prześladowanie Kościoła we Francji.

Nałóżcie wilkowi mocny kaganiec na pysk, albo, nie czyniąc mu żadnej krzywdy, odgródźcie go żelazną sztachetą od umiłowanej trzody owiec..; rabuś natychmiast zawyje o sponiewieranej „wolności" oraz o pogwałceniu wszelkich tradycji i burzeniu ładów społecznych. Takim obezwładnionym szkodnikiem jest kler katolicki w krajach postępowych. Wilczy jego skowyt rozlegał się dotąd przeważnie z Włoch i Francji; niebawem usłyszymy go z poza Pirenejów.

Ignorancja jest podporą szalbierzy, ziemie polskie po dziś dzień — ich ziemią obiecaną. Wprawdzie grube fałsze mataczów klerykalnych coraz mniej znajdują tu posłuchu, ale bądź co bądź niebrak naiwnych prostaczków, co wierzą święcie w „męczeństwo chrześcian" we Francji, gnębionych bez litości przez bezbożnych a zajadłych masonów. Prasa „dobrze myśląca" (czytaj: bezmyślna) ze swej strony popiera i rozpowszechnia te klechdy z gorliwością starej plotkarki.

Od czasu do czasu przedziera się poprzez ten splot potwarzy jakaś wieść autentyczna o świeżych fazach odwiecznej walki kleru katolickiego z kulturą świecką. Wówczas ogółowi otwierają się oczy.

W r. z. kilku francuskich kardynałów i biskupów zagroziło dziatwie szkolnej doborem mąk piekielnych, jeżeli nadal uczęszczać będzie do szkół publicznych, nawskroś duchem świeckim przesiąkłych, a więc „niemoralnych" z dogmatycznego punktu widzenia. *Francuski związek nauczycieli* uczuł się słusznie dotknięty zarzutem „niemoralności" i na krucjatę klerykałów odpowiedział sprawą sądową, która wypadła na niekorzyść wojowniczych prałatów, Oto jeden przyczynek do prześladowań Kościoła we Francji,

A oto drugi, podobny, świeższej daty.

D. 6 stycznia kardynał Coullié, arcybiskup lugduński, ogłosił w organie swym urzędowym (*La semaine réligieuse de Lyon)* dekret zakazujący wiernym, pod grozą ciężkiego grzechu, abonować i czytywać następujące pisma miejscowe: *Le progrès de Lyon — Le Lyon républicain — La tribune républicaine — La Loire républicaine.* Piecza nad „moralnością" trzody katolickiej, na szwank narażonej przez rozpowszechnienie prasy świeckiej i postępowej, skłoniła francuskiego Puzynę do wydania tego osobliwego manifestu, na którym widnieją nadto podpisy dwunastu arcybiskupów i biskupów południowego wschodu Francji (*Sud-Est.*)...

Jak widać, męczeństwo Kościoła w dość nieoczekiwanych ujawnia się formach. Swiat nie widział jeszcze „męczenników" poczynających sobie tak zaczepnie, butnie i arbitralnie. Jedynie chyba „prześladowany" na Chełmszczyźnie żywioł rosyjski tworzy udatne *pendant* do tego „ciemiężenia" chrześcian we Francji.

Jedna z gazet, wymienionych na indeksie, *Le Progrès de Lyon*, odpiera napaść z godnością i spokojem: „Zatym trzynastu prałatów przypuszcza nowy szturm do prasy republikańskiej. Ci ludzie wczoraj napastowali szkoły, dziś biorą się do dziennikarzy świeckich. Nie straszą nas bynajmniej ich pioruny, ale że są tu aż nadto wyraźne intencje szkodzenia naszym interesom, przeto będziemy się bronili.

Zwrócimy się mianowicie do stosownych instancji z zapytaniem, czy po to oddano *gratis* kościoły na użytek kleru, by księża z wysokości kazalnic mogli krzywdzić bezkarnie osoby im niemiłe". —

Kulturalnie, krótko i węzłowato! Sprawa lyońskiego „manifestu" znajdzie się rychło na wokandzie sądów cywilnych, i bądźmy pewni, że skoro zapadnie wyrok na korzyść poszkodowanych organów prasy republikańskiej, rozlegną się po świecie zgodnym chórem wilcze skowyty na temat „strasznego prześladowania chrześcian we Francji" — zyskując raz jeszcze posłuch w sferach naszej dobrze myślącej opinji. .

Nadmienić wypada, że i u nas od pewnego czasu — byłżeby to znak, że jesteśmy „Francją północy?" — mnożą się wypadki kampanji księży przeciw pewnym osobom, pismom, instytucjom i związkom, na które spadają klątwy z wysokości kazalnic pospołu z obietnicami kar piekielnych tudzież groźbami o charakterze bardziej doczesnym i fizycznym.

Osoby oraz instytucje, będące przedmiotem bojkotu kościelnego, dotąd nie reagowały nań sądownie, pomimo moralnych i materjalnych szkód, jakie stąd dla nich wynikły. Że jednak podobny sposób „polemiki" kłóci się z prawem i z obyczajami dzisiejszej epoki, przeto należy postawić na porządku dziennym, sprawę odpowiedniej kontrakcji, co niewątpliwie uśmierzy jurność wojowniczych gorliwców.

Eksploatacja cudów.

Partja wstecznych kosmopolitów z centralną siedzibą w Rzymie ima się urozmaiconych bardzo środków ku pognębieniu swoich wrogów nie cofając się przed najgrubszymi formami oszustwa, zwanego grzecznie „mistycyzmem" albo „pobożną suggestją".

Kościół rozporządza pokaźnym hufcem bezinte

resownych i płatnych agitatorów, poczynając od dzieci o niesformowanych jeszcze poglądach, kończąc na bigotach na poły przytomnych... Obdarzeni zmysłem praktycznym kierownicy Kościoła nie poprzestają snadź na ludzkim materjale; każą oni Bogom spełniać ważne funkcje agitacyjne i poufne zlecenia polityczne. Świadczy o tym następująca depesza, zamieszczona w *Dzienniku Powszechnym* z d. 17 stycznia:

— *Pontmain, Francja* (40-lecie cudownego objawienia się Matki Boskiej). Dziś cała Francja obchodzi z wielką uroczystością 40-lecie cudownego objawienia się Matki Boskiej w Pontmain dwojgu małym pastuszkom. J. E. Biskup Laval odprawił solenne nabożeństwo w bazylice wybudowanej na pamiątkę tego cudu. Od kilku dni tysiące pielgrzymów podążają do *cudownego miejsca, w którym Matka Boska powiedziała, że jeśli Francja nie upamięta się, straszliwe klęski i nieszczęścia na nią spadną.* (Podkr. nasze).

Śmiemy sądzić, my „bezbożnicy“, że niemasz boleśniejszego dla ludzi wierzących widoku, jak bóstwo, użyte za narzędzie propagandy partyjnej, bezsilny manekin w rękach obrotnych i sprytnych kuglarzy. Ci ostatni pono najgłośniej i najchętniej utyskują na upadek wiary świętej — oni, dla których wiara jest obojętnym dodatkiem do tłustej prebendy!

Historja „cudownych objawień” w Pontmain należy do bardzo niejasnych, a zarazem do bardzo charakterystycznych wydarzeń...

Dziwna to postać, owa patronka świętego miejsca: bierze ona udział czynny w politycznym życiu Francji, czytuje *Journal Officiel* z działem rozpraw parlamentarnych, odbywa poufne narady z biskupami i w rezultacie grozi Francji nowym wylewem Sekwany, o ile na wyborach lista protegowanych przez nią kandydatów nie zyska większości...

Niechaj czytelnicy *Prawdy* osądzą sami to grube i czelne bałwochwalstwo, pod płaszczykiem religji szerzone w jednym z najoświeceńszych i najbardziej kulturalnych krajów...

Tonsurowani kuglarze niczym się, jak widać, nie krępują. Jak długo pobłażać im będą osoby, miłujące swój naród i żądne jego rozwoju? Jak długo trwać będzie fikcja, wiążąca losy naszego kraju z organizacją grubego zabobonu i czelnego wyzysku?

Lepiej późno, niż nigdy.

„Szara brać dziennikarska — pisał wkrótce po utworzeniu się Towarzystwa literatów i dziennikarzy w marcu 1909 r. p. Cz. H. — żyje i pracuje w nad wyraz smutnych, materjalnie i duchowo marnych warunkach... Ci, którym udało się ulokować na posadach stałych, są zakneblowani i uzależnieni aż do utraty nietylko sądu samodzielnego, ale często i godności osobistej. Obawa stracenia miejsca tłumi w nich w zarodku wszelką myśl śmielszą, wszelki odruch uczucia szczerszego, dławi głos niepodległy. Oni naogół mogą i będą na zebraniach „związku” tylko potakiwać „panom redaktorom”, lub redakcyjnym matadorom. Niewielu również znajdzie się śmiałków i z pośród tych, co posad nie mają stałych, po pierwsze dlatego, że lot ich wogóle nie jest zbyt wysoki, powtóre, że byłoby to zamknięcie sobie drogi na zawsze na taką, z utęsknieniem, bądź co bądź wyczekiwaną posadę, po trzecie dlatego, że to utrudniłoby im znakomicie zarobkowanie”...

Jeżeli nadto dodać do tego ideowe i moralne różnice i przepaści, — wnioskował słusznie p. Cz. Hul. — Towarzystwo może być wspólnym gniazdem dla małej tylko garstki.

Do zespolenia się na podstawie wzajemnego szacunku i zaufania ogółu świata literackiego Towarzystwo w danych warunkach nie doprowadziło i doprowadzić nie mogło.

Zdawali sobie z tego sprawę i organizatorzy Towarzystwa i literaci z obozu postępowego. Pierwsi zaprosili na zebranie organizacyjne „z powodu szczupłości lokalu i braku blankietów” przeważnie „kolegów” z obozu ugodowo-endeckiego, drudzy zaś nie kwapili się z zapisywaniem do towarzystwa, do którego ich nic nie ciągnęło, tymbardziej, że instynktownie czuli, że towarzystwo na polu literacko-dziennikarskim odegra rolę zupełnie analogiczną do roli osławionej „Koncentracji narodowej” w życiu politycznym.

W tych warunkach działalność Towarzystwa była wcale nie łatwą i mogła być w pewnej mierze pożyteczną tylko o tyle, o ile Zarząd Towarzystwa zdawałby sobie sprawę z tego, czym jest, kogo reprezentuje i jaki może być zakres jego działalności.

Niestety, Zarząd Tow. lit. i dziennikarzy przejął się rolą, do której był najmniej powołany — rolą sądu. Dopóki Zarząd załatwiał z większym lub mniejszym powodzeniem spory między członkami Towarzystwa za ich zgodą, mogło to obchodzić tylko te osoby, które mu rozstrzyganie swoich sporów powierzyły...

Kiedy jednak rozpoczął ferowanie wyroków przeciw literatom, którzy ani nie byli członkami Towarzystwa, ani się dobrowolnie jurysdykcji Zarządu nie poddali, cała prasa postępowa, z wyjątkiem *Nowej Gazety*, wystąpiła przeciw takiej uzurpacji i jednomyślnie potępiła zastosowaną przez Zarząd procedurę wyrokowania nietylko bez wysłuchania, ale nawet bez zawiadomienia oskarżonego.

Pomimo, że pierwszy ten „wyrok”, a raczej postanowienie administracyjne było wydane w obronie pisarza postępowego przeciw innemu pisarzowi postępowemu, zrozumiano niebezpieczeństwo grożące wszystkim niezależnym i samodzielnym pisarzom polskim, zwłaszcza z obozu postępowego ze strony przeważających w Towarzystwie elementów ugodowo-endeckich, będących nadto przeważnie w zupełnej materjalnej zależności od kilku zachowawczych dzienników.

Prasa postępowa wystąpiła z kategorycznym żądaniem, ażeby zapadłe uchwały przeciw nie-członkom towarzystwa były zarazem ostatnimi i nie tworzyły szkodliwego prejudykatu, tym niebezpieczniejszego, że większość członków Zarządu stanowili ludzie, być może bardzo pożyteczni dla Towarzystwa, ale, co z żalem stwierdzić musimy, zbyt krewcy i namiętni, i nie cieszący się ani dostateczną powagą, ani niezbędnym dla sędziów zupełnym zaufaniem ogółu.

Po długiej walce, Zarząd Tow. liter. i dzien. przekonał się, że sprawę przegrał.

Jak donoszą pisma codzienne, na ostatnim posiedzeniu Zarządu Towarzystwa postanowiono „nie rozważać spraw literatów i dziennikarzy polskich z Królestwa Polskiego, nie należących do Towarzystwa”.

Jakkolwiek rozsądne to postanowienie powzięto dopiero wtedy, kiedy Zarząd Tow. lit. i dzien. uwikłał się w niepotrzebne zatargi, z których nie było innego wyjścia, podkreślamy je z uznaniem. Publiczne przyznanie się do błędu jest tym cenniejsze, że bywa rzadkim.

Zgon ks. Jażdżewskiego

Z Berlina nadchodzi wiadomość, że wczoraj rano w gmachu sejmowym zmarł nagle na anewryzm serca ks. Ludwik Jażdżewski, prezes Koła polskiego w Sejmie pruskim.

Ks. Jażdżewski urodził się w r. 1838 w Poznaniu, gdzie ukończył seminarjum duchowne. Święcenia kapłańskie oraz doktorat teologji uzyskał w Mo-

nachjum. W r. 1862 był kaznodzieją przy katedrze w Warszawie, słynąc jako świetny mówca kościelny. Po kilkuletnim pobycie w charakterze misjonarza apostolskiego w Londynie i w Rzymie, powrócił w roku 1866 do archidjecezji gnieźnieńsko - poznańskiej i tu objął parafję w Zdunach, na której pozostał.

W r. 1873 został wybrany posłem do Sejmu pruskiego i mandat ten zachował aż do śmierci. Jako polityk, odznaczał się ks. Jażdżewski wielką rutyną i zręcznością, nie wychodząc zresztą poza szablon metod zachowawczo - klerykalnych, których ostatnim rozgłośnym wyrazem było głosowanie za podwyższeniem listy cywilnej Wilhelma II w myśl biblijnej formuły: „Oddajcie cesarzowi, co jest cesarskiego". W osobie zmarłego prezesa, Koło polskie w Berlinie reprezentowało nietyle świadomą polskość, ile czynnik konfesyjny, sprzymierzony z duchem zachowawczości szlacheckiej. Wraz z ks. Jażdżewskim schodzi do grobu wybitny przedstawiciel polityki dnia wczorajszego, z którą społeczeństwo poznańskie bierze stopniowy rozbrat.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Naczelny publicysta *Dziennika Powszechnego* z gorliwością nawróconego świeżo kacerza gromi *pół* i *ćwierćkatolików* za pomocą dość drastycznych przypowieści, jak świadczy następujący wyimek:

> Opowiadano mi niedawno, że w gabinecie jednego z naszych publicystów katolickich wisi obraz przedstawiający szkielet w kapeluszu damskim. Takie oto modernistyczno-dekadencko-symboliczne malowidło.
>
> Czyż ów szkielet nie jest symbolem rezultatu owej destrukcyjnej roboty, którą kilku katolickich publicystów podjęło w imię jakowychś wykombinowanych przez siebie idei reformistycznych?
>
> Cóż oni robią właściwie?...
>
> Oto odzierają z ciała żywą treść katolicyzmu, czyniąc zeń martwy szkielet. Szkielet wyobraża okropną nagość która budzi przerażenie, więc by ją przysłonić, ubierają go w złudy i pozory. Kładą mu na czaszkę damski kapelusz strojny i przyglądają się: zali nie ożyje choćby tylko w grze rozbujałej wyobraźni.

Czytelnicy nasi pamiętają, że kilka tygodni temu tenże p. Miecznik wspinał się na palce przed „szkieletem" aby wdziać mu na głowę frygijską czapkę buntu. Gdy zaś *Przegląd Katolicki* i *Polak-Katolik* ze zgrozą zupełnie zrozumiałą uderzyły na alarm, p. Miecznik zwrócił się do całego ogółu, wołając:

— „Przecież to są straszne rzeczy, co ci obskuranci wypisują! Przecież dać im się wzmódz na siłach, to tyle, co przygotować u nas grunt do jakiejś anarchji sekciarsko - społecznej..." (Por. *Prawda* Nr. 48 z r. z.) Ostatecznie „obskuranci" przemogli. P. Miecznik ugiął się, zamilkł na chwilę, poczym zaczął bronić „obskurantów" z tym samym impetem, z jakim niedawno ich potępiał.

Oczywiście, w tej nagłej zmianie frontu kryje się piekielna intryga. Widząc że „destrukcyjnej robocie" wespół z garścią „modernistów" narazie nie podoła, rzutki publicysta przystał pozornie do „obskurantów" by „dać im się wzmódz na siłach" i „przygotować u nas grunt do anarchji sekciarsko - społecznej"...

Tak czy owak, pracuje p. Miecznik bez wytchnienia na szkodę Kościoła, który dotąd nic nie dostrzega, niczego nie przeczuwa *Quos Deus perdere vult...*

* Z chwilą ujawnienia „ugody" rydzyńskiej sprawa usłużnych „świadczeń" ze strony hr. hr. Wodzickiego i Potockiego wyrasta do rozmiarów niebywałego skandalu. Było do przewidzenia, że niektóre pisma zachowawcze, zostające mniej lub więcej w ścisłym kontakcie z bohaterami z pod Rydzyny i od nich zależne — zechcą sprawę zbagatelizować i załagodzić.

Pierwszą tego rodzaju próbę czyni warszawskie *Słowo* opatrując tekst „ugody" następującym ostrożnym komentarzem:

> Z powyższego układu notarjalnego wynika, co zresztą było już wiadomem, chociaż w uwagach dziennikarskich czasem przeoczonym, że hr. hr. Antoni Wodzicki i Henryk Potocki występowali nie jako pretendenci do ordynacji bo agnatami nie są, lecz jako zwykli sukcesorowie ks. Antoniego Sułkowskiego, mianowicie jego majątku alodjalnego, t. j. nie ordynackiego, który był minimalny, prawdopodobnie po strąceniu długów równał się zeru.
>
> Do Rydzyny hr. hr. Wodzicki i Potocki mogliby mieć pretensję dopiero wtedy, gdyby sądy przyznały, że ordynacja, z powodu braku sukcesorów, istnieć przestała, że zatym i rząd pruski nie ma prawa do roli sukcesora w ordynacji.

Bałamutny wykręt *Słowa* znalazł należytą odprawę w *Kurjerze Porannym*, który zaznacza przedewszystkim, że wystąpienie organu realistów zasługuje na uwagę, jako głos owej *altera pars*, i pożądane skądinąd wyjaśnienie; ale system obrony, zawarty w powyższej cytacie, nie wytrzymuje najmniejszej krytyki:

> Za punkt wyjścia bierze „Słowo" warszawskie okoliczność, że hrabiowie Wodzicki i Potocki nie występowali jako pretendenci do ordynacji, bo agnatami nie są, lecz jako „zwykli sukcesorowie" hr. Sułkowskiego, mianewicie „jego majątku nieordynackiego, który był minimalny, prawdopodobnie po strąceniu długów równał się zeru". Punkt wyjścia jest zdumiewający. Okazuje się mianowicie, że odpada nawet przypuszczenie, iż hrabiowie rozporządzali się w szacherkach z rządem pruskim swoją materjalną domniemaną własnością i że cztery miljony, jakie wytargowali — miały być wypłacone za nic, poprostu tylko dla ich pięknych oczu, przez naiwność czy niedopatrzenie rządu pruskiego!...

* *Gazeta Warszawska* z niepojętym uporem utożsamiająca wbrew oczywistym świadectwom historji sprawę narodową z interesem kleru katolickiego, wystąpiła w n-rze 7 przeciwko szkole M. Kreczmara (popieranej przez Tow. Kultury Polskiej) obarczając zarząd jej zarzutem z powodu przyjęcia na stanowisko prefekta „nałogowego pijaka" ks. Adalberga Dyni, zasuspendowanego przez biskupa kieleckiego. Zbijając tę czelną kalumnję, zwierzchność szkoły, w odpowiedzi ogłosiła w *Kurjerze Porannym* list otwarty, odsłaniający nam tajemnicę „cichego bojkotu", stosowanego już oddawna przez kler z szatańską złośliwością celem zniweczenia postępowej uczelni. Doprawdy podziwiać trzeba szczególne upodobanie matadorów Endecji do wplatania swego głosu w wyjącą sonatę nienawiści księżej zawsze, ilekroć usiłuje ona zgłuszyć lub steroryzować poczynania oświaty, niezależnej od ciasnoty sekciarskiej.

Oto co wyświetla zarząd szkoły:

> „1) Mimo usilnych starań w ubiegłym roku szkolnym 1909/1910 nie udało nam się uzyskać prefekta od generalnego konsystorza warszawskiego; tenże bowiem od dłuższego już czasu stosuje względem naszej szkoły system „cichego bojkotu". System polega na wzbranianiu księżom prefektom warszawskim udzielania u nas lekcji religji i jednoczesnym zapewnianiu nas na piśmie, że przeszkód do wykładu religji niema, o ile zarząd odpowiedniego prefekta sobie znajdzie. Oczywiście zwracanie się w takich warunkach do księży warszawskich, jak o tym zresztą niejednokrotnie przekonać się mieliśmy możność, jest najzupełniej daremne.
>
> 2) Ksiądz Wojciech Dynia, zgłosiwszy się z ofertą

i nadzwyczaj chlubnymi rekomendacjami zarówno od instytucji naukowych (uniwersytetów lwowskiego i wiedeńskiego) jak i poszczególnych przedstawicieli wyższego duchowieństwa (arcybiskupów wiedeńskich ks. Ganglbauera i Angerera) oraz innych osób stanu duchownego i świeckiego, wreszcie przedstawiwszy świadectwo moralności, wydane przez konsystorz kielecki z d. 30 sierpnia r. 1910 za Nr. 2155, — został przez zarząd szkoły zaproszony na stanowisko prefekta i na temże przez inspektora szkół zatwierdzony.

3) Angażując księdza W. Dynię, zarząd Szkoły o jego zasuspendowaniu w niespełna dwa tygodnie po wydaniu mu świadectwa moralności, nic zgoła nie wiedział. Obecnie, z pism dowiadując się, że konsystorz generalny warszawski zwrócił się z zawiadomieniem o rzeczonej suspensie do inspekcji szkół i okręgu naukowego, uważa za właściwe jako szczegół nader charakterystyczny, podkreślić tę okoliczność, że bezpośrednio do zarządu szkolnego konsystorz z tym samym zwrócić się nie próbował.

4) Wobec tego, iż ksiądz Wojciech Dynia w ciągu trzymiesięcznej pracy w szkole nie dał ani cienia powodu do podejrzewania go o to, co miało być przyczyną jego suspendowania, iż przeciwnie — z jego zachowania się i stosunku do uczniów zarząd szkoły jest najzupełniej zadowolony, iż wreszcie sam ksiądz Dynia gorąco protestuje przeciw rozsiewaniu o nim uwłaczających mu wiadomości i dochodzi wyrządzonej sobie krzywdy, — zarząd nie widzi potrzeby zmieniania obecnie dotychczasowego swego do księdza Dyni stosunku.

Z treści powyższego przytoczenia wysnuć można pewien zdumiewający wniosek: oto papież nie ufa kardynałom ni biskupom, ponawiając żądania coraz częstszego składania przysiąg. Biskupi ze swej strony nie wierzą proboszczom.

Świadectwo prawomyślności po dwuch tygodniach już traci swą siłę i musi być na nowo potwierdzane. Alež doprawdy, nawet w hordzie bandyckiej, możnaby znaleźć śród członków więcej wzajemnego do siebie zaufania! Opierając się wyłącznie na dokumentach urzędowych kleru, niepodobna oprzeć się przekonaniu, że kościół katolicki stał się w całym zespole jakimś olbrzymim odmętem wiarołomstwa, obłudy i krzywoprzysięztwa!

Odpowiedź p. Straszewiczowi.

„Wróciwszy po paru tygodniach nieobecności zastałem — pisze p. Straszewicz w Nr. 21 *Kurjera Polskiego* — nabrzmiały a bardzo przykry spór dziennikarski, wytworzyło się kwasów, przykrości, nieporozumień bez liku. A przyczyną były obalone, wyjaśnione, usunięte pogłoski o zniknięciu jakoby funduszu, złożonego dwadzieścia parę lat temu na kasę emerytalną dla tutejszej straży ogniowej.” Jakiś współpracownik *Prawdy* — skarży się p. Straszewicz — wplątał i jego osobę do tej sprawy. Zmartwił się tym biedny, dobry, poczciwy p. Straszewicz. Po co ci ludzie się kłócą, po co jego mieszają do sprawy?

„W Kulturze Polskiej „ludzie nieposzlakowanej prawości, posiadający zupełne zaufanie ogółu — woła p. Straszewicz — orzekli to, co się okazało i w Towarzystwie Literackim: fundusz istnieje w całości: Powiedzieli więcej niż my (Zarząd Tow. lit. Przyp. Red.), bo ich o więcej pytano, przedstawiono dowody z przeszłości, których my nie znaliśmy. Rezultat badań szczegółowych wypadł bardzo pomyślnie dla opinji p. Fryzego — krzywdzące pomówienia muszą ustać.”

„Pan Fryze obalił zwycięsko oskarżenie — chwała Bogu! — Po co więc napadać na zarząd Towarzystwa dziennikarzy i literatów i na jego „tęgiego, zdrowego” — jak powiada p. Straszewicz — wiceprezesa, który „tak szczerze i mądrze oddanym jest instytucyi,” a który nadto na jednym z posiedzeń tak gorąco bronił interesu Ludwika Fryzego, że zagroził nawet wyjściem z zarządu, gdyby większość wydała dokument, który mógłby się stać orężem przeciw „koledze naszemu Fryzemu”.

Po co dalej mieszać do sprawy samego p. Straszewicza, który jeszcze w 1909 r. na posiedzeniu Zarządu Tow. Lit. i dziennikarzy „doznał uczucia żywej szczerej uciechy, że takie ciężkie oskarżenie przeciw koledze upadło”? Żaden z przyjaciół p. Fryzego tak gorliwie jak ja — woła p. Straszewicz — nie rozgłaszał jego niewinności.”

Dlaczegoż więc nie widzimy redaktora *Kur. Por.* w koleżeńskim dobranem gronie p. Sadzewicza, p. Lorentowicza, p. Miecznika, p. G. Kempnera? kto temu winien, że zamiast radzić wspólnie o dobru kraju—panowie ci boczą się na siebie? „Kto tu szkodnik“? pyta p. Straszewicz — i z tryumfem ogłasza, że winnego znalazł. To ukryty w *Prawdzie* czarny charakter „z gębą pełną jadu”, poczyna jątrzyć, podszczuwać, bałamucić, intrygować! Byle spór trwał, byle się ludzie szarpali, było nurzać w błocie współobywateli.” Ponury ten człowiek, któremu „nie wiedzie się w życiu, w sztuce lub fotografji, w aptece lub na urzędzie”, (skąd o tym wie obywatel Straszewicz?) „zaczepia honor cudzy i to wielu naraz ludzi bezimiennie... Tak kompromitującego, tak plamiącego grzechu nie zgładzi bynajmniej okoliczność, że winowajca przezwał się postępowcem i w tym tytule upatruje sławę i zasługę“ — kończy swój artykuł „konserwatywny“ p. Straszewicz, z właściwą mu chrześcijańską łagodnością i wysoce obywatelską dążnością do wyjaśnienia nieporozumień, uspokojenia uniesień, załagodzenia sporów.

* * *

Nazwał ktoś p. Straszewicza „enfant terrible“ jego obozu. Nigdy tytuł ten mu się słuszniej nie należał, jak po napisaniu w obronie Tow. lit. i dziennikarzy i jego wiceprezesa artykułu, z którego urywki przytoczyliśmy. Czyż p. Straszewicz nie czuł, kiedy pisał artykuł p. t. „Kto tu szkodnik”, że wyrządza tym, których chciał bronić, najbardziej niedźwiedzią przysługę? Przecież rozdmuchuje on sprawę na nowo i potwierdza najwyraźniej, że wystąpienie wiceprezesa Tow. dzien. i literatów na sławetnym posiedzeniu 9 maja 1910 r. nie było nawet wystąpieniem w *dobrej wierze*, że niektórzy członkowie Zarządu Towarzystwa, a między nimi i sam p. Straszewicz, solidaryzując się z p. L. byli zupełnie nie w porządku. Zestawmy fakty. W jesieni 1909 r. zaraz po zbadaniu sprawy przez Zarząd Tow. lit. i dzien. wiceprezes Zarządu komunikuje osobom trzecim, że p. Ludwik Fryze jest w zupełnym porządku, w obronie „kolegi Fryzego” grozi aż usunięciem się z Zarządu, członek zaś Zarządu p. Straszewicz „z oburzeniem opowiada, jakie to potworne rzeczy wymyśla u nas nieraz lekkomyślna plotka”. I oto w półroku potym kiedy sprawa posunęła o tyle naprzód, że Tow. ubezpieczeń sprawdziło rachunki i urzędowo pokwitowało Ludwiks Fryzego z opieki nad funduszem strażackim, kiedy toczyła się już sprawa o ten fundusz w sądzie arbitrów przy T. K. P., w którym zasiadali, jak przyznaje p. Straszewicz „ludzie nieposzlakowanej prawości, posiadający zupełne zaufanie ogółu”, w maju 1910 roku rzucona została potwarcza insynuacja na publicznym zebraniu Tow. dzien. i literatów, roztrąbił ją po mieście *Kur. Warsz.* w słowach, w których wszyscy widzieć mogli tylko potwierdzenie krążących plotek o nadużyciach jakoby popełnionych przez L. Fryzego względem funduszów publicznych i nikt, nikt z tych urzędowych obrońców etyki w dziennikarstwie nie zaprotestował nawet ani na posiedzeniu, ani po wydrukowaniu sprawozdania

w *Kurjerze Warszawskim*, pomimo, że na zebraniu byli obecni członkowie Zarządu, którzy już wówczas byli przekonani, że Ludwik Fryze jest w zupełnym porządku? Czyż p. Straszewicz nie czuje, że pogrąża on autorytet Zarządu Tow. lit. i dziennik. jako instytucji sądowej nawet względem członków Towarzystwa?

„Ale — tłumaczy p. Straszewicz — w *Porannym* ukazała się napaść na Zarząd. Oburzyliśmy się wszyscy, gniew nas chwycił. Lorentowicz... rzucił słowa silne. Nie pamiętam dokładnie ich brzmienia. Sprawozdania dziennikarskie — to wcale nie dosłowne stenogramy. Może były i za silne. Ja ich sądzić nie mogę, bom się wtedy z nimi solidaryzował. Jeśli więc tkwiła w nich jaka wina — tom ja współwinny"...

Niech i tak będzie. Nie zapanowaliście nad sobą. *Poranny* nie będąc związany z żadną koterją wzajemnej adoracji, nie zależąc od kapitalistów lub bogatych protektorów, dokuczył wam wszystkim a rozchodzi się w takiej ilości egzemplarzy, jak *Kurjer Warszawski, Słowo, Gazeta Warszawska, Dziennik Powszechny* i *Nowa Gazeta* razem wzięte. Nadomiar ukłuł was mocno w sam dzień posiedzenia. Byliście podnieceni. Chcieliście go zabić moralnie w osobie jego redaktora.

Ale przecież uniesienie powinno było minąć. Kiedy sprawa została ostatecznie wyjaśnioną przez sąd arbitrów przy T. K. P., dlaczego żaden z tych panów, którzy się solidaryzowali wówczas z potwarczymi insynuacjami nie pomieścił odwołania?

Pan Straszewicz myli się, że p. L. pierwszy „pośpieszył" z ogłoszeniem orzeczenia sądu w *Now. Gaz.* Ogłosił je dopiero wtedy, kiedy został wprost zainterpelowany przez *Prawdę* i nadomiar nie znalazł w sobie dość odwagi, by zaniechać podtrzymywania dalej pewnych zarzutów i usiłowań osłabienia znaczenia wyroku arbitrów. Inni dotąd milczą. Niechaj nam wierzy p. Straszewicz, nie żywiliśmy nigdy żadnej niechęci do p. Lorentowicza, nie bagatelizujemy wartości jego prac literackich, ale musieliśmy wystąpić przeciwko niemu w imię prawdy. Nie wynajdywaliśmy przeciw p. L. żadnych starych drobiazgów, wyraźnie zaznaczyliśmy, że fakt, który miał miejsce dwadzieścia lat temu, może być puszczony w niepamięć jako objaw studenckiej krewkości i nierozwagi.

Niepotrzebnie tylko, zaznaczamy nawiasem, i chyba przez nieporozumienie nazywa humanitarny p. Straszewicz obelgi czynne względem starca wezwanego w charakterze świadka na sąd honorowy „studenckim nieporozumieniem, widocznie chlubnym (sic!) dla p. L..."

Musieliśmy potępić metody p. L., użyte w obronie zadraśniętej ambicji. Nie mogliśmy zgodzić się ani na samosąd jaki się odbył nad przeciwnikiem na posiedzeniu Tow. lit. i dzien. w maju r. z., ani nie mogliśmy pozwolić na usiłowania mobilizacji literatów i dziennikarzy polskich, bądź nie znających danej sprawy, bądź moralnie lub materjalnie zależnych, dla poparcia spraw już przegranych przed forum właściwym.

Daruje p. Straszewicz, ale nie możemy przyznać mu monopolu na pojmowanie obowiązków obywatelskich.

Właśnie w imię obowiązku obywatelskiego wystąpiliśmy w obronie pokrzywdzonego przeciwko tym, co cenili wyżej autorytet Zarządu Towarzystwa niż prawdę.

Na zakończenie winniśmy p. Straszewiczowi kilka wyjaśnień w sprawie osobistej. Niepotrzebnie i niesłusznie p. Straszewicz gniewa się, że artykuły były nie podpisane. W rubryce „Na dobie" artykułów nie podpisujemy. Żeby jednak p. Straszewicz nie myślał, że chodzi nam o ukrycie się przed moralną odpowiedzialnością, administracja pisma na żądanie zakomunikuje p. Straszowiczowi nazwisko i adres autora.

Po drugie, zbytecznie tłumaczy się p. Straszewicz, że nigdy potwarzy przeciw p. Fryzemu nie rozsiewał. Gdyby był uważnie przeczytał artykuły *Prawdy*, przekonałby się, że wytykaliśmy mu tylko solidaryzowanie się z zarzutami postawionymi na zebraniu Tow. dziennikarzy i literatów przez vice-prezesa Tow. dziennikarzy i literatów.

Red.

Książki nadesłane do Redakcji:

Iza Moszczeńska: „Postęp na rozdrożu" 1911 r. Skład gł. w księgkrni E. Wende (Hiż i Turkuł) Str. 101. Cena kop. 65.

Adam Mickiewicz: „Pod Stoczkiem" z słowem wstępnym Wiktora Gomulickiego. Książnica Literacka" Nr. 1 (Skonfiskowany).

Andrzej Niemojewski: „Planetnik", nowela. Książnica Literacka Nr. 2.

Zofja Rygier-Nałkowska: „Noc podniebna", nowela. Książnica Literacka Nr. 3.

Adam Szymański: „Aksinja", opowiadanie z życia Moskiewskiej Lechji. Kraków, drukarnia Uniw. Jagiell. 1911. str. 126, cena kop. 80.

Tadeusz Wyganowski: „Wśród tajg Syberyjskich". Nakład drukarni Bilińskiego i Maślankiewicza. Warszawa, 1911, str. 106. Cena kop. 90.

Edward B. Tylor: „Antropologja". Wstęp do badania człowieka i cywilizacji (z rysunkami). Przetłumaczyła z angielskiego Aleksandra Bąkowska. Wydanie III. Z przedmową L. Krzywickiego. Warszawa, 1911, str. 444.

Zofja Mellerowa: „Wdowa z Efezu", komedje i djalogi, z przedmową C. Walewskiej; cena rb. 2, 1911, str. 350.

F. Arnsztajnowa. „Poezje", Serja II, Wydanie II, Warszawa, 1911. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena kop. 85.

Widnokręgi, lwowski dwutygodnik, poświęcony kulturze polskiej, rozpoczęły drugi rok wydawnictwa zeszytem o treści obfitej, przyozdobionym efektownym rysunkiem Marjana Olszewskiego: „Trzej Królowie". Zeszyt ten (I) zawiera mianowicie. Br. Gałczyński: Z powodu Legendy chłopskiej Polski. — Fr. Babelais: Gargantua (fragment w przekładzie W. Bemikiewicza). — Al. Naworski: Latarnia (wiersz). — D-r Leon Biegeleisen: Sprawa polska (z powodu dzieła Wł. Studnickiego). — Karol Irzykowski: W kształt linji spiralnej (studjum krytyczne) — Jerzy Kurnatowski: Organizacja związków zawodowych (szkic ekonomiczny).— Emile Boutroux: William James, twórca pragmatyzmu (z franc). — J. Kaden: Teatr belgijski. — Książki nadesłane. — Z literatury.

Józef Weyssenhoff. „Hetmani", powieść współczesna Pierwszy tysiąc. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1911 str. 384.

Tomasz Potocki. „Ścibor", baśń dramatyczna, Kraków, 1911, str. 285.

Henryk Wiercieński. W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny. Warszawa, str. 172.

A Baumfeld: „Sprawa polska a Żydzi". Warszawa, 1911 str. 16.

Antoni Lange: „O sprzecznościach sprawy żydowskiej", Warszawa, 1911, str. 78.

Marceli Handelsman: „Studja historyczne", Warszawa, 1911, E. Wende, str. 310.

Edward Abramowski: „Badania doświadczalne nad pamięcią". Tom I, Warszawa, 1910, str. 108, cena rb. 1.

Zbigniew Brodzki: „Poezja Smutku", studjum literackie Warszawa, 1911, E. Wende, str. 212.

Leopold Staff: „Wybór poezji", z portretem autora, Lwów. księgarnia Połonieckiego, str. 250.

OGŁOSZENIA.

Iza Moszczeńska

POSTĘP NA ROZDROŻU.

Postępowcy i ich kłopoty. — Drogowskazy postępu. — Masy żydowskie w nowożytnym społeczeństwie. — Asymilacja i jej odmiany. — Najlepsze rozwiązanie kwestji żydowskiej.

Cena 65 kop.

Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł.)

Przyjmuje się prenumeratę na rok 1911

na codzienną polityczną, literacką i ekonom. gazetę

РѢЧЬ

Wydawaną w Petersburgu 6-ty rok przez

W. D. NABOKOWA i I. I. PETRUNKIEWICZA

przy najbliższym współudziale

P. N. MILUKOWA i I. W. HESSENA

i w dawniejszym składzie współpracowników.

CENA PRENUMERATY:

W Rosji: Rocznie **12** rb.—k. **9** mies. **9** rb.—k. **6** mies. **6** rb.—k. **5** mies. **5** rb. **10** k. **4** mies. **4** rb. **15** k. **3** mies. **3** rb. **15** k. **2** mies. **2** rb. **15** k. **1** mies. **1** rb. **10** k.

Za granicą: Rocznie **20** rb.—k. **9** mies. **15** rb. **75** k. **6** mies. **11** rb.—k. **5** mies. **9** rb. **50** k. **4** mies. **7** rb. **75** k. **3** mies. **6** rb.—k. **2** mies. **4** rb.—k. **1** mies. **2** rb.—k.

PRENUMERATA ULGOWA

(przy zwróceniu się bezpośrednio do kantoru głównego).

Dla wiejskiego duchowieństwa i nauczycieli, dla uczących się w wyższych zakładach naukowych, felczerów, włościan, robotników i subjektów: 12 mies.—9 rb., 9 mies.—6 rb. 75 k., 6 mies.—4 rb. 50 k. 3 mies.—2 rb. 40 k., 1 mies.—85 k.

Adres Redakcji i Kantoru Głównego:

St-Petersburg, ul. Żukowskiego, 21.

Numery okazowe wysyła się bezpłatnie.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

NOWOŚĆ! **NOWOŚĆ!**

Józef Weyssenhoff

EROTYKI

Poezje. Z ilustracjami **Henryka Weyssenhoffa**

Wydanie bardzo ozdobne. Cena rb. 2 k. 50.

Tegoż autora

HETMANI Powieść współczesna nigdzie nie drukowana. Cena rb. 2.—

UNIA Powieść litewska. 2.—

Dni polityczne. Ser. I. Narodziny działacza (rok 1905). 1.—

— **Ser. II. W ogniu** (rok 1905 — 6). 1.80

Sprawa Dołęgi rb. 1.80. Na papierze czerp. 4.—

Syn marnotrawny. 2.20

Za błękitami! Z ilustr. K. Górskiego Wyd. 2-gie 1.—

W ozdobnej oprawie 1.40

Zaręczyny Jana Bełzkiego. Z ilustr. K. Górskiego. Wyd. 2-gie 1. W ozdobnej oprawie 1.40

Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wyd. 4-te 1.50

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Adama Szymańskiego

(autora Szkiców)

„AKSINJA"

Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechji

Cena 80 k. — u Gebethnera i Wolffa.

Wacława Grubińskiego

BUNT

wydanie drugie Cena rb. 1.—

Pocałunek 1.20

Na rubieży 80

Uczta Baltazara 75

Pijani . . . . 1.—

Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Kropidło i Sakiewka. — Przegląd Polityczny. — Niezrozumienie, przez J. K. — Listy z Galicji, przez Ludwika Kulczyckiego. — BADANIA NAUKOWE: Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie, przez Alexego Kurcjusza (dok.). — KRYTYKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA: W kształt linji spiralnej, przez Karola Irzykowskiego (dok.) —Kronika teatralna, przez Kazimierza Wroczyńskiego.—NA DOBIE: Targowica rydzyńska.—W błędnym kole. — „Moja Pani" (przyczynek do „socjologji chrześcijańskiej"). — Polacy semici. — Prześladowanie Kościoła we Francji. — Eksploatacja cudów. — Lepiej późno, niż nigdy. — Zgon ks. Jażdżewskiego. — PRASY: Z prasy polskiej. — Odpowiedź p. Straszewiczowi, przez Red. — Książki nadesłane do Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.